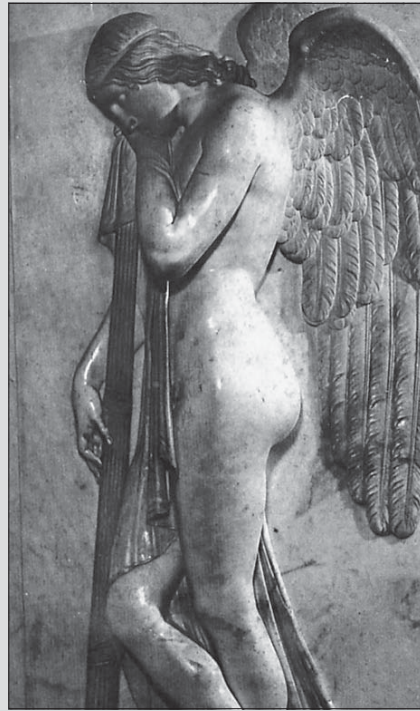


Jerzy Liebert

Anioł pokoju

– Z dłoni odbieram ci oręż.
 – Więc na zawsze zostanę bezbronny?
 – Oręż zawieszam na sercu.
 – Serce małe, ciężar ogromny.
 – Z trudu miłość się rodzi.
 – W miłości początek wojny.
 – Tej wojnie pokój przewodzi.
 W niej zbrojnego zwycięża bezbronny.
 – Za ręce mnie wiesz, dokąd?
 W ciemnościach się myślę i gubię.
 – Wytrzymaj, poddany próbie.
 – Tyle głosów przeze mnie biegnie,
 jak w gałęziach w piersiach wiatr dzwoni.
 – Wytrzymaj, wicher ulegnie.
 – Ale kto mnie przed myślą obroni,
 W zawiei kto myślą wesprze?
 – Anioł ładu, anioł Harmonii.
 – Skądżeś przyszedł? Pamiętam, żyłem
 Pod dachem co w słońcu się bielił,
 Matka stała u mej pościeli,
 A najświętsze Dzieciątko się śmiało.
 – Lecz spod dachu serce wyrzało;
 Nie odegna dziś matka lęku,
 Inna bojaźń przyszła i twoga,
 Gdy Dzieciątko urosło w Boga.
 – Co czynić? Wszystko za mało.
 Dłoń twoja jak prawo twarda.
 – Niebo w słowie czekać kazało.
 – Lecz dla słowa rośnie pogarda.
 Ręce proszą o czyn dzisiejszy,
 Ręce od słowa silniejsze.
 – Ręce z serca podjęły siłę
 I dla słowa pogardy nie miej:
 Słowa z serca i kłosa z ziemi
 Jednakowo Bogu są miłe,
 – Więc kiedyż na świecie Bóg da mi
 Przymierze ręki ze słowem?
 – Kiedy słowo dotkniesz rękami.
 – Czekalem od Ciebie pokoju.
 – A jam cię napełnił szczęciem.
 – Myślałem, że Twoje objęcia
 Są jak mięta wonne i miękkie.
 – A trawy zadały cięcia.
 – Myślałem że jak rzeki czyste,
 Niezatrute potoki ojczyste,
 Dasz mi wodę przaśną i słodką.
 – A jam cię płomieniem dotknął.



– Myślałem, że jak ziemia ciepła
 Będziesz we mnie szedł o południach,
 Moje rosy wypijesz zimne.
 – Jam ci wtedy dał chłód jak studnia.
 – O, czemu tak niepojęta
 Sprawujesz nade mną władzę
 I skrzydeł Twych dotyk bolesny?
 – Bo cię kocham i do jutra prowadzę.
 – Więc jest jutro i dzień przed nami,
 Więc wyjdę z pustki i nocy?
 – Dzień przed tobą jak próg drewniany.
 – Więc ukochać jest w mojej mocy?
 – Ukochałeś, bom ciebie zranił.
 – Więc jest pokój i ład najwyższy?
 – Jest pokój i ład niedoli.
 – Więc ucisza się serce ludzkie?
 – Tak, lecz serce do śmierci boli.
 – Odpowiedz. – A jeśli zdradzisz?
 – Odpowiadam. Niech Bóg prowadzi.

o Jerzym Liebercie piszemy na stronie 23

POWŚCIAĞLIWOŚĆ I PRACA

MIESIĘCZNIK KATOLICKI
WYDAWANY NAKŁADEM
XX MICHALITÓW

SPIS TREŚCI

● ANIOŁ POKOJU – J. Liebert	2
● JA WIEM: ŻYJE PAN! – ks. M. Gładysz CSMA	3
● SIŁĘ CZERPAŁA Z KRZYŻA CHRYSYSTUSA – rozmowa ze słowackim biskupem Pawłem Hnilicą	4
● MOJE SPOTKANIA Z MATKĄ TERESĄ – ks. Z.J. Peszkowski	6
● WYZNANIE WIARY – M. Rówińska	7
● 11 LISTOPADA – S. Niesiołowski	8
● POLSKIE TERMOPILE – E. Zdanowicz	9
● MAŁE RZECZY – P. Smogorzewski	10
● ŻYCIODAJNA ŚMIERĆ – M. Sieciechowicz	11
● WIEDZA I PRZESĄD – J. Trammer	13
● KOBIETA, CZYLI MEŻCZYŻNA – B. Fedyszak-Radziejowska	14
● POTRÓJNA PRACA – ks. Cz. Knebel CSMA, ks. K. Kilar CSMA	16
● PROGRAM PISZE ŻYCIE – ks. S. Łącki CSMA, P. Smogorzewski	17
● SZANSA RODZINY – M. Damasiewicz	18
● NIE LĘKAJMY SIĘ – H. Ilfing	19
● STARZYŃSKI Z BLISKA – C. Bunikiewicz	20
● WYPĘDZENI – M.A. Wasilewski	21
● JERZY LIEBERT – H. Oleschko	22
● KOŚCIÓŁ CHALDEJSKI – ks. M. Starowiejski	23
● DWIE WIZJE APOKALIPSY – A. Szubert-Olszewska	24
● VIII PRZYKAZANIE – M. Szreder	25
● ŻAŁOBNE ORNATY – J. Kossakowski	25
● NARODZINY PRAKTYCZNEGO IDEALIZMU (1) – M. Klecel	26
● JESIENNE PROBLEMY – M. Przybysz	27
● ZWIĄZEK PRZYCZYNOWY – S. Michalikiewicz	28
● BUDOWANIE DOBROBYTU (CZ. 2) – J. Wegner	29
● BUTWIEJĄCE PAŃSTWO PRAWA – A.W. Pawluczuk	30
● ZAUFANEM BOŻEMU MIŁOSIĘRDIU – rec. ks. E. Data CSMA	31

FOT. OKŁADKA I – A. Mari
 FOT. OKŁADKA II – P. Żywieński (fotoreportaż z 10-lecia odsłonięcia pomnika ofiar
 komunizmu z lat 1944-1956, czyt. s. 9)

Numer zamknięto 22 października 2003 r.

ks. Mieczysław Gładysz

Ja wiem: żyje Pan!



Bardzo trudno utrzymać się na powierzchni spiętrzonej fal współczesnego życia. W tym nieustannym zmaganiu się z żywiołem codziennej powszedniości czasem ustaje nadzieja. Niepokoi przyszłość: i ta najbliższa, i ta nieskończona...

Dlatego na początku listopada Kościół prowadzi nas do miast pokoju i ciszy – na cmentarze. Tam uczy dystansu do spraw tego świata. A w niezmiernych łunach płonących zniczy proponuje odczytać odbłask wiekustej Światłości, która już stała się udziałem tych spośród nas, którzy – skąpani we krwi Baranka – przekroczyli wrota wieczności. Idziemy więc w te *Zaduszne dni* na cmentarze, by zagłębić się w ciszę, posłuchać spokoju, a może zaglądnąć za drzwi Tajemnicy...

I pewnie chcielibyśmy zapytać: *Kim są ci, po TAMTEJ stronie? – To ci, co przychodzą z wielkiego ucisku...* A więc od nas. Z padółu palcu... Śpiewają i jaśnieją wielorakim blaskiem. To ludzie Ośmiu Błogosławieństw. Nosimy ich imiona. Palimy znicze, niesiemy kwiaty tym, którzy mieli odwagę nieść nadzieję – czasem wbrew nadziei... Tym, którzy – zda się – ciągle żyją. Przeogromna rzesza rozświetlonych uciskiem...

Dziś jasno widzimy, co znaczy: NIEZLICZONA RZESZA... Przecież nikt nie jest w stanie zliczyć ofiar hekatomb – choćby – Golgoty Wschodu!!! A iluż z nich – jak mówi kapłan poeta – *jaśnieje blaskiem Panajezusowych błogosławieństw?* Tego się nie da zinwentaryzować...

Więc wśród cmentarnych łun stajemy w pokornej zadumie i pragniemy spaść klamrą wiary naszą historię i naszą terażniejszość – sprawy wielkie, ojczyzniane i te małe – osobiste. – To nieprawda, że nam pozostało tylko to ostatnie błogosławieństwo, że: *nam urągają i prześladują... i mówią kłamliwie wszystko złe...*

Stojąc nad grobem kogoś bardzo bliskiego nieraz chcielibyśmy zapytać: *Czy jest niebo?! Czy nasze TAM miejsce?! I na zasadzie dziwnego paradoksu – z milczących mogił, pod baldachimem zaduszkowej pożogi – płynię nadzieja i ufność w Ezechielowe przesłanie: Bóg nawet z wyschniętych kości może wzbudzić naród doskonały...* oraz Hiobową ufność: *wiem, Wybawca mój żyje... i zobaczę Go własnymi oczyma...*

Ludzie są nierozumni, nielogiczni i samolubni – kochaj ich mimo wszystko. Jeśli czynisz dobro – czyni dobro, mimo wszystko. Jeśli odnosisz sukcesy – zyskujesz fałszywych przyjaciół i prawdziwych wrogów – odnoś sukcesy, mimo wszystko. Twoja dobroć zostanie zapomniana już jutro – bądź dobry, mimo wszystko. Szlachetność, szczerłość wzmagają twoją wrażliwość – bądź szlachetny i dobry, mimo wszystko. To, co budujesz latami, może runąć w ciągu jednej nocy – buduj mimo wszystko. Ludzie, w gruncie rzeczy, potrzebują twojej pomocy – mogą cię jednak zaatakować, gdy im pomagasz – pomagaj mimo wszystko dając światu wszystko najlepsze, co posiadasz – mimo wszystko.

(Matka Teresa)

Siłę czerpała z Krzyża Chrystusa

W dniach, kiedy cały chrześcijański świat raduje się z faktu, iż chwały ołtarzy doznaje, będąca wcieleniem ewangelicznej miłości bliźniego, **błogosławiona Matka Teresa z Kalkuty, Powściągliwości i Pracy** udało się namówić na rozmowę o tej niezwykłej zakonnicy **biskupa Pawła Hnilcę**. Ten słowacki hierarcha, który niedawno obchodził 82. urodziny, przez prawie trzydzieści lat blisko współpracował z wielką Założycielką **Zgromadzenia Sióstr Misjonarek Miłości**.

Kiedy książd Biskup poznał Matkę Teresę?

Był rok 1964. Wówczas, towarzysząc Ojcu Świętemu Pawłowi VI, miałem okazję brać udział w *Kongresie Eucharystycznym*, który zorganizowano w Bombaju. Pośród oczekujących na centralnym placu miasta na przyjazd Papieża rzesz wiernych znalazł się także i mój znajomy jezuita z Chorwacji, który – znając już wcześniej Matkę Teresę – mnie jej przedstawił. Zapamiętałem to spotkanie bardzo dobrze również i dlatego, że na zakończenie uroczystości Papież przekazał na potrzeby dzieła prowadzonego przez obecnie Błogosławioną – samochód. Matka Teresa nie korzystała jednak z tego – w tamtych czasach i obecnie w Indiach – jakże cennego daru. Szybko sprzedała go, a za uzyskane w ten sposób pieniądze założyła, odległą o trzy godziny drogi od Kalkuty, wioskę czy raczej miasteczko dla trędowatych. Mogło w niej zamieszkać 27 tysięcy chorych na trąd.

Wszyscy, którzy znali Matkę Teresę, twierdzą, że była kobietą

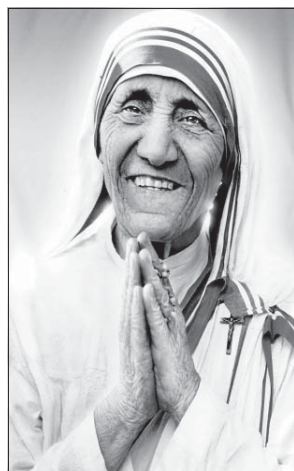
o bardzo mocnej osobowości. Kiedy raz podjęła jakąś decyzję to najwygłusze nawet nalegania nie mogły sprawić, aby od niej odstąpiła...

To prawda. Jako, że była osobą o nie najlepszym zdrowiu jej współpracownicy wielokrotnie pragnęli ulżyć jej w cierpieniach powodowanych licznymi

Jestem osobiście wdzięczny tej mężnej kobiecie, której obecność czułem zawsze blisko siebie. Jako ikona Dobrego Samarytanina szła wszędzie by służyć Chrystusowi w najuboższych i pośród ubogich. Ani konflikty, ani wojny nie były w stanie jej zatrzymać. Co jakiś czas przybywała, by opowiedzieć mi o swoich doświadczeniach w służbie wartościom ewangelicznym. Pamiętam, na przykład, jak powiedziała po otrzymaniu pokojowej Nagrody Nobla: *Jeśli usłyszycie, że jakaś kobieta nie chce urodzić swojego dziecka i zamierza je usunąć, starajcie się przekonać ją aby mi je przyniosła. Ja je będę kochała widząc w nim znak Bożej miłości...*

Fragment homilii wygłoszonej przez Ojca Świętego Jana Pawła II 19 października 2003 roku podczas Mszy św. beatyfikacyjnej

mi chorobami. Posłużyć się przykładem. Któregoś razu mieliśmy jechać pociągiem do miejscowości oddalonej od Kalkuty o kilkaset kilometrów. Zważywszy na tragiczny stan taboru kolejowego w Indiach i bardzo trudne warunki jazdy wykupiliśmy dla Matki Teresy bilet I klasy. Ona jednak, nie zważając na to od razu przeszła do wagonu klasy



fot. G. Gałązka

III. Chcąc nie chcąc, całą kawalkadą ruszyliśmy za nią, próbując w ścisłości i toku znaleźć jakieś miejsca do siedzenia. Cała ta sytuacja zniesmaczyła, można powiedzieć, towarzyszących nam Anglików: – *Osoba wyróżniona Pokojową Nagrodą Nobla nie powinna pod różować w takich warunkach* – szeptali z dezaprobatą. Pasażerowie od razu rozpoznali Matkę Teresę. Ustąpili jej miejsca.

Książd Biskup odbył wiele podróży z Matką Teresą. Czy mogę prosić o garść wspomnień z tych wpraw?

Poczytuję sobie za zaszczyt fakt, iż właśnie na moją prośbę, po raz pierwszy, przyjechała do Rzymu,

aby założyć pierwszy dom Zgromadzenia na terenie Italii. Pamiętam, że aby zainaugurować działalność sióstr, pamiętam że wpłaciłem na ich konto symboliczne 10 dolarów. Matka Teresa zżymała się jednak, bo zawsze podkreślała, że niczego jej nie potrzeba, a nade wszystko jakichkolwiek środków materialnych: – *Musimy mieć mniej i być biedniejsi, aby zrozumieć*

najbiedniejszych... – to była jej dewiza. Ta troska o najbardziej potrzebujących właściwie nigdy jej nie opuszczała. Kiedyś lecieliśmy samolotem – nie pamiętam dokąd. Spojrzała w iluminator i w dole ujrziała jezioro. Zapytałem o czym myśli: – *Ille bym dała, żeby tę wodę można było przenieść tym moim chorym w Kalkucie...* Tak, była wciąż zatroskana o swych podopiecznych – niczym matka o rodzone dzieci.

Innym znów razem w Indiach, w jednej z założonych przez nią wiosek, zbrało prąd. Ustała praca zainstalowanych na sufitach wiaraków, które chłodziły pomieszczenia oraz odstraszały insekty. Zdenerwowana zaczęła krzyżeć: – *Muchy zjedzą moje dzieci! Ratujcie je!* – To było zdenerwowanie pełne prawdziwej miłości.

Spełnionym marzeniem Matki Teresy stała się z pewnością jej podróż do

Rosji, gdzie w roku 1988 przyjęta została przez Raisę Gorbaczow, ale – jak sądzę – do końca towarzyszył jej niedosyt, że nie danym jej było postawić nogi w Chinach. Zawsze, ilekroć z nią miałem okazję rozmawiać, zwierzała się z pragnienia prowadzenia pracy misyjnej w Państwie Środka.

Matkę Teresę kochali wszyscy: i ludzie prości, i intelektualści. Także szefowie narodów i państw?

Ona mówiła całą sobą. Przekazywała tę wielką prawdę Ewangelii. Była tak bardzo autentyczna w tym, co czyniła i mówiła. Bardzo wzruszające było, kiedy Kanclerz Kohl (podczas pobytu Matki Teresy w Niemczech) używał Jej swojego helikoptera, gościł Ją w swoim domu. Wiele razy byłem świadkiem, jak telefonowała gdzieś ze zwykłego telefonu na monety np. do prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wielcy tego świata

pytali Ją o numer i natychmiast oddzwaniłi. Wszyscy traktowali Ją z jakimś wielkim namaszczeniem i okazywali jej życzliwość za to, co czyniła i jaka była.

Po powrocie z tych spotkań zawsze pomagałem Jej nosić bagaże – zwłaszcza gdy wracaliśmy do Kalkuty. Taszczyła wiele pudełek, w których było jedzenie i najpotrzebniejsze do życia rzeczy. Skąd w tym małym ciele tyle siły? Pytano niejednokrotnie. A ona, po prostu siłę czerpała z Krzyża

Chrystusa. Zawsze powtarzała: – *Stamtąd płynie największa siła dawania siebie innym.*

Najbardziej zapadły mi w pamięć spotkania Matki Teresy z Ojcem Świętym Janem Pawłem II. Oni mówili takim samym językiem: pełnym autentycznej miłości do Boga i człowieka. Zawsze, ilekroć Matka Teresa była w Rzymie, spotykała się z papieżem, który przyjmował Ją na audiencjach – wystarczyło tylko, że zatelefonowała. Na spotkania niosła również wiele medalików i różańców – prosiła, aby Ojciec Święty poświęcił je dla chorych.

Ojciec Święty przez tę beatyfikację mówił: – *Święci są wśród nas, każdy może zostać świętym – tylko czyni dobro.* Mówi jeszcze jedno: – *Nie zapominajcie o najbiedniejszych, nie zapominajcie o tych, którzy są w potrzebie...*

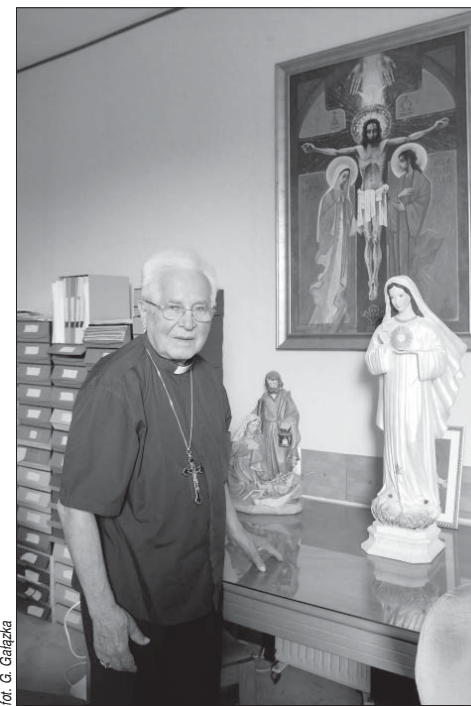
Książd Biskup sprawował razem z Papieżem Mszę Świętą na Placu św. Piotra, podczas której wyniósł do chwały błogosławionych Matkę Teresę. Co czuł w takiej chwili przyjacieli Matki Teresy?

Chyba to, że należy wierzyć i ufać w Opatrzność Bożą. Ona, nawet gdy Jej proponowano, nie chciała regularnej, miesięcznej przekazywanej sumy pieniędzy na Jej dzieła, np. od jakiejś instytucji. Mówiła: – *Nie człowiek – to Bóg troszczy się o nas...* Podczas beatyfikacji prosiłem ją, z wielką pokorą, o siłę dla wszystkich, którzy niosą bezinteresownie dobro innym. Prosiłem ją za rodziny, aby umiały żyć prawdziwą miłością, za duchownych, aby nie szukali niczego dla siebie: żadnej kariery, pieniędzy, władzy – po prostu, by żyli dla Boga i człowieka, oddając im całą miłość. Ona zawsze mi to powtarzała.

Dziękuję za rozmowę. Szczęść Boże!

Bóg zapłać! Niech Bóg błogosławi Polakom i Polsce. Niech tego błogosławieństwa uprasza również Matka Teresa.

Z wieloletnim współpracownikiem b. Matki Teresy z Kalkuty rozmawiał ks. Jarosław Cielecki



fot. G. Gałązka

Moje spotkania z Matką Teresą

Po raz pierwszy spotkałem Matkę Teresę w USA w 1976 r. podczas Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego w Filadelfii. Pamiętam ogromny stadion wypełniony po brzegi ludźmi: Mszę św., referaty, prelekcje, rozmowy. Arcybiskup Sheen mówił o głodzie obecności Jezusa Eucharystycznego. Ksiądz Kardynał Karol Wojtyła podjął trudny temat: *Eucharystia i wolność*. Nie zapomnę, z jakim przejęciem uczestnicy Kongresu słuchali głębokich przemyśleń i świadectw, jakie przywoził ze zniewolonej Ojczyzny. Po wygłoszonej prelekcji przyszedł czas na podziękowania, spotkania i rozmowy ze honorowymi gośćmi. Wśród nich była Matka Teresa z Kalkuty.

Jej osoba stanowiła żywy przykład troski człowieka o zaspokojenie głodu duszy i ciała. Kiedy podszedłem do niej, urzekła mnie jej głębia, dobroć i prostota. Była osobą bliską mojemu sercu. W sposób szczególnie łączyła mnie z nią miłość do Indii, gdzie przebywałem przez kilka lat podczas wojny. Pamiętam Kalkutę, która wbiła mi się w pamięć jako miasto biednych.

Drugi raz spotkałem Matkę Teresę w Rzymie, gdy otrzymała od Ojca Świętego klucze do domu, który miał stać się sierociniec dla dzieci – o ile dobrze pamiętam – z Kambodży. Podczas spotkania z Matką Teresą przypomniałem sobie Kongres w Filadelfii i nasze rozmowy z ówczesnym Kardynałem Wojtyłą. Na pamiątkę wręczyłem Matce Teresie medalik Matki Bożej Częstochowskiej na łańcuszku. Na rewersie były słowa Apelu Jasnogórskiego. Przeczytałem tekst, przetłumaczyłem i wyjaśniłem, że jest to raport składany codziennie o godzinie 21.00 przez Polaków Matce Bożej na Jasnej Górze. Matka Teresa założyła medalik na szyję.

Kilka dni później spotkaliśmy się na rzymskim lotnisku. Matka Teresa leciała do Brukseli, a ja do Warszawy. Tak się złożyło, że nasze samoloty były opóźnione. Odprowadziłem ją do poczekalni i towarzyszyłem w oczekiwaniu na lot. Rozmawialiśmy o Indiach, o Polsce, o pracy sióstr misjonarek. Wspólnie odmówiliśmy różaniec. Pasażerowie, widząc naszą długą rozmowę i modlitwę, myśleli, że jestem sekretarzem Matki Teresy.

Przechodzące osoby, po rozpoznaniu Matki Teresy, okazywały jej oznaki szacunku, podziw i czci. Nie zapomnę chwili, gdy podszedł do nas jakiś przymyślowiec szwajcarski, człowiek bardzo bogaty. Pragnął jej wręczyć swoją wizytówkę. Trochę onieśmielony powiedział, że jeśli kiedykolwiek będzie czegoś potrzebowała, może do niego zadzwonić – *spełnienie jej prośby będzie dla niego największym zaszczytem i radością*. Matka Teresa trzymała niepewnie w ręce wizytówkę, jakgdyby wahała się ją przyjąć. Powiedziałem: – *Schowaj Matko, może się kiedyś przyda...* Po chwili Matka Teresa przekazała swojemu rozmówcy pierwszą prośbę: – *Proszę się za mnie pomodlić...* Trudno sobie wyobrazić jego zdziwienie.

Kolejne spotkanie było bardzo osobliwe. Brałem udział w podróży dookoła świata. Lecieliśmy wielkim *Jumbo Jetem* linii *Air India*. Na odcinku z Kalkuty do Bangkoku i Tokio była z nami na pokładzie samolotu Matka Teresa. Stewardesy, widząc, że jestem księdzem katolickim, przybiegły do mnie z informacją: *Matka Teresa jest z nami!* Zapytały, czy chciałbym się z nią spotkać? – *Oczywiście*. Byłem bardzo szczęśliwy, że znnowu będę mógł ją zobaczyć. Obok niej były wolne fotele (przeznaczone prawdopodobnie dla ewentualnych rozmówców). Czekał nas długi lot, a więc

radość moja z tego spotkania była wielka. Matka Teresa mnie poznała. Odbiliśmy długą, serdeczną rozmowę. Razem odmówiliśmy różaniec. Przed pożegnaniem zadała mi dziwne pytanie: – *Lecisz, drogi księżu. Jesteś w długiej podróży, ale twoje serce jest gdzie indziej. Troskasz się o coś? O co?* – Odpowiedziałem, że jako profesor seminarium myślę o niedawno ukończonym roku akademickim i o moich studentach – klerykach. Dziwne była jej odpowiedź: – *Troskasz się o swoich studentów, o swoich kleryków. Zrób wszystko, co możesz, aby ich rozkochać w Eucharystii. Jeżeli ich przywiążesz do miłości Chrystusa w Najświętszym Sakramencie, będą dobrymi kapłanami*. I dodała: – *Czy wyobrażasz sobie, księżu, że mogłabym wysłać moje siostry do tak ciężkiej pracy z najbardziej, z najbardziej opuszczonymi ludźmi, gdyby codziennie przed udaniem się na służbę nie trwały przez godzinę w adoracji Chrystusa w Eucharystii?*

Ostatnie spotkanie z Matką Teresą miało miejsce w Warszawie – u sióstr Matki Bożej Miłosierdzia, przy ul. Żytnej. Zebrała się tam młodzież, która była u Matki Teresy w Kalkucie i w specjalny sposób była związana z pracą charytatywną i pomocą dziełu Matki Teresy. W ostatniej fazie spotkania byłem tłumaczem. Nie zapomnę, jak młodzieży gotowej na wyjazd do Kalkuty z całą mocą tłumaczyła: – *Nie jedźcie tam! Całą uwagę skupcie na pracy w Polsce, która potrzebuje was i waszej troski, waszej miłości dla tych, którym jest bardzo ciężko w tym kraju...* Czas pokazał, widzimy to dziś wyraźnie, jak proroctwo były to słowa. Ilu dziś w Polsce bezdomnych, bezrobotnych, alkoholików, narkomanów, chorych na AIDS, opuszczonych i samotnych. Słowa Matki Teresy i przykład jej życia jest wyzwaniem, drogowskazem, łaską dla całego świata, dla naszej Ojczyzny i dla mnie osobście.

Dzięki dobremu Bogu mogę opowiedzieć o tych spotkaniach zakończyć modlitwą: *Błogosławiona Matko Tereso – módl się za nami!*

ks. Dżdzisław J. Peszkowski

III DZIEŃ PAPIESKI

III Dzień Papiński, odbywający się w tym roku pod hasłem *Jan Paweł II – Apostoł Jedności*, przeszedł już do historii. Obchodzony co roku w niedzielę poprzedzającą dzień wyboru Karola Wojtyły na papieża tegoroczny Dzień Papiński był niewątpliwie wyjątkowy: nie tylko ze względu na 25. rocznicę pontyfikatu Ojca Świętego, lecz także na szczególną duchową łączność Polaków, która stała się wielkim wyznaniem wiary.

Wyznanie wiary

Centralne obchody III Dnia Papińskiego rozpoczęły się już w sobotę 11 października, a otworzyła je międzynarodowa sesja naukowa pt. *Jan Paweł II – Apostoł Jedności* zorganizowana przez Instytut Jana Pawła II, Instytut Tertio Millennio oraz Fundację Dzieło Nowego Tysiąclecia, głównego organizatora Dnia Papińskiego. Podczas konferencji, która odbywała się w Auli Wielkiej Uniwersytetu Warszawskiego, swoje referaty wygłosili ks. abp Józef Życiński, o. Maciej Zięba OP, prof. Jerzy Kłoczowski oraz ks. kard. Giovanni Battista Re – gość specjalny tegorocznego Dnia Papińskiego, którego referat pt. *Jan Paweł II – Apostoł Jedności dla całego świata* wzbudził niezwykle zainteresowanie i wzruszenie. Uroczystej sesji naukowej towarzyszył temat: *Kultura nośnikiem jedności*.

W wigilię Dnia Papińskiego na Zamku Królewskim odbyła się Gala Nagród TOTUS 2003, którą poprzedziło uroczyste posiedzenie Rady Fundacji Dzieło Nowego Tysiąclecia, pod przewodnictwem ks. abp. Tadeusza Gocłowskiego. Nagroda TOTUS, przyznawana co roku przez Fundację Dzieło Nowego Tysiąclecia, jest najbardziej prestiżowym wyróżnieniem w Kościele katolickim w Polsce. Specjalnie powołane kapituły oceniały kandydatów w czterech kategoriach. Pierwsza z nich to *Promocja człowieka, praca charytatywna i edukacyjno-wychowawcza*, w której przyznano dwie równorzędne nagrody główne: siostrze Małgorzacie Chmielewskiej za konkretną realizację u progu trzeciego tysiąclecia wyobraźni miłosierdzia oraz Piotrowi Pawłowskiemu za długoletnią pracę na rzecz poprawy sytuacji i aktywizacji osób

niepełnosprawnych. W tej kategorii kapituła przyznała także wyróżnienie specjalne dla Marii i Teresy Sawickich – mieszanek Krakowa, które we własnym mieszkaniu, na zwykłej czteropalmkowej kuchence, od 20 lat gotują obiady dla przeszło stu bezdomnych.

Osiągnięcia w dziedzinie kultury chrześcijańskiej to kolejna kategoria, w której kapituła przyznała *ex equo* nagrodę główną Adamowi Bujakowi za autorstwo niepowtarzalnej galerii fotografii utrwalającej dla przyszłych pokoleń wydarzenia ważne dla Kościoła w Polsce oraz o. Andrzejowi Bujnowskiemu OP za *odnowę muzyki liturgicznej...* oraz wyjątkowy w skali międzynarodowej fenomen stworzenia i animowania środowiska młodych muzyków chrześcijańskich. Nagrodę główną w kategorii *Promowanie nauczania Ojca Świętego Jana Pawła II* otrzymała Katolicka Agencja Informacyjna.

Szczególną kategorią jest *TOTUS* medialny dla upamiętnienia bpa Jana Chrapka oraz jego roli w ukazywaniu osoby i nauczania Jana Pawła II. W tym roku nagrodę tę otrzymał zespół twórców filmu *Edi* w tym jego reżyser Piotr Trzaskalski.

Podczas Gali Nagród TOTUS 2003 wręczono także dyplomy laureatom II edycji Konkursu Akademię im. Biskupa Jana Chrapka. W tym roku indeksy na studia dziennikarskie otrzymała: Magdalena Rówińska, Maria Kośnik, Artur Parafinowicz, Łukasz Kalfas oraz Elżbieta Kolny. Komisja konkursowa wyróżniła ponadto Annę Bucłoń i Annę Hareźlak.

III Dzień Papiński obchodzono w całej Polsce, a towarzyszyło mu prze-

szło trzydzieści dużych wydarzeń artystycznych. 12 października w Teatrze Wielkim w Warszawie odbył się koncert galowy *Dnia Papińskiego*. Jego reżyserem był Jerzy Bielunas, a kierownictwo muzyczne objął Jan Pospieszalski. W tym niezwykłym widowisku wzięło udział ponad trzystu artystów, orkiestry, kapela ludowe, aktorzy i soliści, wśród których znaleźli się między innymi światowej klasy sopranistka Zofia Kilanowicz, Anna Maria Jopek, Mieczysław Szczęśniak, *Arka Noego* oraz włoski zespół *Hope music*. Koncert składał się z części przedstawiających kolejne okresy liturgiczne. W scenografii, inspirowanej sztuką i obrzędami ludowymi, znalazły się autentyczne przydrożne kapliczki, rzeźby oraz inne rekwizyty sztuki sakralnej. Podczas finału koncertu wykonano utwór Jana i Marcina Pospieszalskich pt. *Pięć Przypowieści*, skomponowany specjalnie na tę okazję. Obchodom Dnia Papińskiego towarzyszyła zbiórka pieniędzy pod hasłem *Dzielny się miłością*, z której dochód przeznaczony zostanie na Fundusz Stypendialny Fundacji Dzieło Nowego Tysiąclecia, która co roku wspiera finansowo najbardziej uzdolnionych gimnazjalistów, licealistów i studentów pochodzących z małych miast i wsi. W przeprowadzenie tegorocznej zbiórki włączyło się ponad 100 tys. wolontariuszy: ministrantów, członków ZHP, ZHR, ZHK Zawisza oraz młodzieży i dorosłych z różnych środowisk.

Centralne obchody III Dnia Papińskiego zakończył *Apel Warszawski z Ojcem Świętym* na Placu Zamkowym w Warszawie, w którym udział wzięli ks. kard. Józef Glemp, ks. kard. Giovanni Battista Re, ks. abp Nuncjusz Apostolski Józef Kowalczyk oraz Prezydent Warszawy Lech Kaczyński.

We wszystkich świątyniach w Polsce ludzie modlili się w intencji Ojca Świętego – zgromadzeni na uroczystych Mszach św., nocnych czuwaniach, nabożeństwach. Wydarzenia III Dnia Papińskiego, także dzięki zaangażowaniu mediów, stały się wielkim wyznaniem wiary i wyrazem łączności wszystkich Polaków z Ojcem Świętym.

Magdalena Rówińska

Odbudowanie państwa polskiego w 1918 roku (po trwającej 123 lata niewoli, nieobecności na mapie, a w coraz większym stopniu także w świadomości narodów i polityków) jest jednym z najważniejszych wydarzeń w całej historii Polski. Słusznie też jest nazywane *cudownym zmartwychwstaniem* lub *cudem listopada* , którego słońce, jak pięknie pisał pisarz, polityk i ambasador Kajetan Morawski, odbijało się w karabinach rzuconych przez rozbrajanych niemieckich żołnierzy. Bo przecież sam wybuch, wymodlonej przez Mickiewicza, wojny ludów, wydawało się, że mógł, co najwyżej, zmienić granice zaborów. Być może doprowadzić do zajęcia obszarów zamieszkałych przez Polaków przez jednego z zaborców. Wydawało się logiczne i jasne, że jak wszystkie poprzednie tak i tę wojnę ktoś w końcu musi wygrać – Niemcy, lub Rosja? Ale nic więcej. Przyjęcie wersji, że wszystkie trzy mocarstwa, które w końcu XVIII wieku dokonały rozbiórów Polski: Rosja, Niemcy i Austria nie tylko przegrają, lecz także pogrążą się w chaosie, ulegną rozkładowi i upadkowi, nie miało w chwili wybuchu wojny najmniejszych podstaw.

11 Listopada

Listopad 1918. to, w świadomości zbiorowej, czas wielkiej jedności, patriotycznego entuzjazmu i uniesienia. Na ogół przeciwstawiany czerwcowi 1989., jako okresowi fałszywych kompromisów, wyczekiwania, zawiedzionych nadziei, zmarnowanych i niewykorzystanych okazji. Z pewnością jest to tylko część prawdy. Chociaż trudno porównywać zupełnie różne epoki pod względem ekonomicznym czy społecznym, a skala zniszczeń, biedy, nędzy, ogrom piętrzących się problemów z pewnością był większy po zakończeniu wojny, toczącej się na ziemiach polskich. Jednak trafnie pisze o roku 1918, daleki od złudzeń, polityk i publicysta piłsudczykowski: – *Stać nas dziś na to, aby nie nachylać się tylko ze wzrusze-*

*niem nad owymi dniami pełnymi nędzy i wielkości, kurzawy śnieżnej i płomienia, trwogi i bohaterstwa... o cóż zli walczyć w roku 1918 ci, co walczyć wtedy poszli? ... Nie przeciw trzem – lecz przeciw czterem zaborcom, rozpoczynała się wojna. Czwartym najgroźniejszym... najokrutniej despotycznym – była przeszłość polska. Nie tylko sto trzydzieści lat niewoli, lecz także sto pięćdziesiąt poprzednich lat rozkładu. Nie tylko przeciw obcym, lecz także przeciw sobie rozpoczynała się 11 listopada 1918 r. ostatnia bitwa. Nie tylko o granice, lecz także o charakter Polski (Ignacy Matuszewski, *Próba syntez* , Warszawa, 1937 r.).*

Dziś wiemy z całą pewnością, że nie była to bitwa ostatnia, a negatywne zjawiska w społecznej świadomości oraz w obszarze tego, co można umownie nazwać *polskim charakterem* , nie zostały zlikwidowane, a raczej nasiliły się i wzmocniły. Złożyło się na to bardzo wiele przyczyn, w przede wszystkim potworne w swoim okrucieństwie doświad-

czenia nazistowskiej okupacji i komunistycznej dyktatury, wymiszczenie polskich elit intelektualnych, warstw przywódczych, niemożliwe do odrobienia straty we wszystkich dziedzinach życia.

Jest swoją drogą jakaś zdumiewająca zdolność rzućcia w naszym kraju przesadnych i gołosłownych oskarżeń, szermowania zarzutami *rozbiórów* , narodowej zdrady, zaprzaństwa. Wybitny historyk, filozof i publicysta, mający opinię umiarkowanego, Marian Dzieduchowski tak pisał na temat kończącego wojnę z Rosją Sowiecką traktatu ryskiego: *Nie dziełem chwały, lecz hańbą narodu jest ten pokój. Oby przyszłość nie karała całego narodu za niepoczytalnych jego przedstawicieli... Cześć wam panowie suwereni za czwarty rozbiór kraju...* (M. Dzieduchowski, *Widmo przyszłości* , Warszawa, 1999).

Legenda tamtego Listopada miała istotny wpływ na ludzi walczących z komunizmem w czasach Polski Ludowej o wolność i niepodległość. Organizując rocznicowe manifestacje, miałem świadomość nie tylko tego, że są one wyrazem protestu przeciwko zniewoleniu, obłudzie i nieudolności komunistycznych rządów, lecz także wyrazem nadziei na odzyskanie kiedyś niepodległości (choć wobec potęgi Związku Sowieckiego wydawało się to możliwe w niewyobrażalnie odległej przyszłości). Nie przypominam sobie, by ktokolwiek twierdził wówczas, że stanie się to wkrótce. Jednak skoro możliwe było przekreślenie traktatów rozbiorowych, to możliwe może okazać się także wyrwanie się z niewoli jednego tylko mocarstwa. Ale to także дума z dokonania odrodzonej Rzeczypospolitej, tak ważna w czasach zagrożenia demokracji przez falę apatii, rezygnacji, demagogii i pustosłowia. Dziś ważniejsza niż wojskowy i polityczny splot okoliczności, które doprowadziły do naszego powrotu na mapę, Дума i wiara w nasze możliwości tak ważne teraz, gdy obecnie w przeciwieństwie do tak wielu pokoleń poprzednich, wyjącznie od Polaków zależą losy naszej Ojczyzny.

Stefan Niesiołowski



fol. Arch.

Na obrazie mistrza Belotto, zwanego Canaletto, kościółek św. Katarzyny święci, jak niesiona wysoko biało-czerwona chorągiew. Przez wieki wzgórze, na którym zbudowano ową, najstarszą w tej części Mazowsza, świątynię obrósło w wiele znaczących dla dziejów Rzeczypospolitej symboli, a ślady historii i liczne pamiątki są tu otoczone przez proboszcza ks. prałata Józefa Romana Maja staranną troską i pielęgnowane z niezwykłym pietyzmem.

Polskie Termopile

Eugeniusz Zdanowicz

Przez Służew przewinęły się zasłużone dla Polski kolatorskie rody tutejszej parafii. Zatem i pochodzący od Gotarda Radwana Służewscy, później Czartoryscy i Potoccy, a ostatecznie Braniccy. Stąd właśnie na uroczystościach u św. Katarzyny do dziś można spotkać w stosownych strojach, damy i kawalerów maltańskich pochodzących z tych rodzin. Miejscowi parafianie otaczają kultem błogosławionego Michała Czartoryskiego, wyniesionego na ołtarze wraz ze 107 towarzyszami przez Ojca Świętego Jana Pawła II dominikanina sąsiedniego klasztoru i męczennika.

We współczesnych dziejach kościołek wyraźnie zapisał się, i to aż dwukrotnie. Pierwszy raz, kiedy wokół św. Katarzyny skupiła się grupa działaczy pragnąca wydobyc z zapomnienia i upamiętnić ofiary zbrodni systemu komunistycznego, których milczącym świadkiem był także Służew. Starania skupionych wokół ks. Maja działaczy niepodległościowych, takich jak profesorowie: Wiesław Chrzanowski i Tomasz Strzembos, sędziowie: Jadwiga Skórzewska, Bogusław Nizieński i Wojciech Welman, redaktorzy: Zdzisław Szpakowski i Wojciech Ziemiński oraz mecenas: Jan Olszewski i Andrzej Grabiński, który stanął na czele komitetu – obrodziły, jak wiadomo, dokumentacją, publikacjami i ostatecznie pomnikiem-mauzoleum, nad którym góruje krzyż z przestrzeliłą. Pomnik ten upamiętnia ofiary owych zbrodni, których dokonała na polskim narodzie komunistyczna władza.

Jeszcze boleśnieszys miał się okazać

ów drugi przypadek, kiedy zrodził się pomysł – niosący, jak się miało okazać, śmiertelne wręcz zagrożenie wszelkim popłucywnym postkomunistycznym. Mówimy tu Konwencie św. Katarzyny. Zapewne stąd właśnie biorą się wszelkie objawy alergii, a także amnezji, które do dziś trapią przeróżne obozy tak zwanej *klasy politycznej* . Widać to najwyraźniej podczas uroczystości rocznicowych na służewskim wzgórzu. Absencja przywódców *wszystkich Polaków* wręcz rzuca się wówczas w oczy. Wiele mówiące jest także milczenie publicznych i komercyjnych mediów.

A z Komitetem, pracującym nad upamiętnieniem zbrodni komunistycznych na polskim narodzie, było tak. Przeniesiony w 1984 r. z parafii św. Anny do parafii św. Katarzyny, wieloletni i niezwykłe zasłużony duszpasterz środowisk akademickich i naukowych ks. Józef Maj bardzo szybko zdobył wiele rozproszonych wiadomości o tak zwanych *tajnych pochówkach* , których dokonywano w latach czterdziestych i pięćdziesiątych na obu służewskich cmentarzach: przy Wałbrzyskiej i przy kościele św. Katarzyny. Były to najczęściej zeznania naocznych świadków. Brakowało wszakże jednoznacznych dokumentów, które by potwierdzały, że mordowani w mokotowskich katawniach *bezpieki wrogowie władzy ludowej* byli właśnie tu chowani.

W 1988. parafia przygotowywała się do obchodów jubileuszowych. Zbliżało się bowiem 750-lecie jej istnienia. Wówczas robiono okolicznościowe, jak się to mówi – porządki. Przełomem dla całej sprawy, nad którą pracował komi-

tet okazało się znalezisko pod stertą drzewa opalonego, na terenie sąsiadującego z plebanią folwarczku. W owej skrytce była m.in. teczka z korespondencją na temat *tajnych pochówków* . Przewadził ją ówczesny proboszcz parafii ks. Adam Wyrębowski z władzami miasta i więziennictwa na Mokotowie. Wyjątkowe znaczenie ma tu fakt, iż bohaterski kapłan (przed wojną był krajowym kapelanem więziennictwa) znał obowiązujące procedury. Stąd wzięły się jego listy, także do władz miasta. Urzędowe odpowiedzi stawały się bowiem pretekstem wysyłania do władz więziennych kolejnych pism, nie tyle może księdza-proboszcza, co bardziej zanipokojonego urzędnika, zarządzającego cmentarzami na podległym sobie terenie.

Dość na tym, że zachowane dokumenty potwierdzały wszystkie ustne świadectwa mówiące o tajnych pochówkach i zacieraniu śladów zbrodni.

W wyniku działań wojennych, wraz z przesuwaniem się frontu na zachód, Polska, sprzedana w Jałcie przez sojuszników, stawała się znów ofiarą tak zwanej *geopolityki* . W istocie miała tu miejsce bezprzykładna w historii zdrada uczestnika wojennej koalicji. Tak więc w wyniku jałtańskiego sprzeniewierzenia, wykrwawiona i zrujnowana Rzeczypospolita zmieniła jedynie okupanta, a terror niemiecki został zastąpiony przez rosyjski, jedynie w nowym, bolszewickim wydaniu.

Od powtórnego wejścia wojsk rosyjskich w granice Rzeczypospolitej aż do sławnego października 1956 r. cały ów czas zapisał się w historii Polski jako jedno pasmo zbrodni rosyjskiego agresora i będącego na jego usługach zbrojowego renegata, kryjącego się pod maską unurzanej w bratniej krwi, tak zwanej *władzy ludowej* . A jedynym za-dośćuczynieniem za owe zbrodnie wydaje się być ten, odwołujący się do NARODOWEJ PAMIĘCI pomnik na świątynnym wzgórzu.

Dziesięć lat upłynęło od wzniesienia przy św. Katarzynie na Służewie ⇨

Pomnika ofiar terroru komunistycznego w latach 1944-1956. W ostatnią wrześniową niedzielę, w godzinach wieczornych, u stóp monumentu – żołnierze z kompanii reprezentacyjnej WP wraz z harcerzami – zaciągnęli honorową wartę. Z wielu miejsc Polski, w których dokonano kaźni na żołnierzach AK, NSZ, WiN i innych uczestnikach organizacji niepodległościowych przybyły poczty sztandarowe. Gospodarz uroczystości, proboszcz od św. Katarzyny ks. prałat Józef Roman Maj przywitał przybyłych gości, wśród których byli przedstawiciele Kościoła, władz państwowych, miejskich, samorządowych oraz Policji, a także damy i kawalerowie maltańscy, będący przedstawicielami rodów kolatorskich służewskiej parafii.

Przed uroczystą liturgią Chór Reprezentacyjny WP wykonał **Bogurodnicę** – pieśń rycerstwa polskiego, będący w istocie naszym pierwszym hymnem państwowym.

Mszę św. odprawił ks. bp Edward Materski, a okolicznościową homilię wygłosił Prymas Polski ks. Józef kardynał Glemp, który podkreślił **znaczenie pamięci w dziejach narodu**. Następnie pod krzyżem z przestrzelina, górującym nad sarkofagiem (gdzie

w urnie spoczywają prochy ofiar, pobrane z bezimiennych grobów w 470 miejscach w Polsce) złożono wieńce. Między innymi w imieniu władz stolicy wieńce złożyli: wiceprezydent Andrzej Urbański wraz z wiceprzewodniczącym Rady Warszawy Janem Marią Jackowskim, a w imieniu samorządu Mokotowa – burmistrz Ewa Węglowska.

Warto dodać, że wśród uczestników uroczystości byli obecni wysocy przedstawiciele policji. Ale pisząc te słowa, mimo usilnych starań, nie odnotowałem wśród zebranych przedstawicieli rządu Rzeczypospolitej i prezydenta, ani też beneficjentów Konwentu św. Katarzyny, nawet spośród tych, którzy do dziś zasiadają w Sejmie i Senacie. To smutne, bo przecież pamięć tej zbrodni nie jest wyłącznie sprawą rodzin jej ofiar ani wyłącznie sprawą warszawską, jakby to mogło się wydawać z oglądu ostatniej uroczystości. Ta zbrodnia jest przecież sprawą całego narodu i całej Polski. A dziś pełnym zadośćuczynieniem za nią może być jedynie pielęgnowana, z należytą czcią, PAMIĘĆ.

Na jednym z głazów Pomnika wyryto słowa wiersza powstałego w mokotowskiej kaźni. Jego autorem był zamę-

czony w mokotowskich kazamatach Tadeusz Porayski, żołnierz AK, kuzyn prezydenta Ignacego Mościckiego. Do niedawna wiersz ów był jedynym, oryginalnym pomnikiem, który upamiętniał ofiary tej bratobójczej wszak zbrodni. Oto jego pierwsza strofa:
**Przechodniu, pochyl czoło,
wstrzymaj krok na chwilę
Tu każda grudka ziemi
krwią męczennicką broczy
To jest Służewiec, to są nasze Termopile
Tu leżą ci, co chcieli bój do końca toczyć.**

Po wystąpieniach oficjalnych przedstawicieli władz i komitetu, i po uroczystym apelu poległych, kompania reprezentacyjna **Wojska Polskiego** oddała trzy salwy honorowe, które odbiły się echem wśród otaczających wzgórze świątynne zwartych blokowisk spółdzielczych osiedli Służewa, Stegien i Ursynowa. Ofiary niesły się one dalej, jak echo wśród gór, i były słyszalne we wszystkich zakątkach wolnej Ojczyzny. Wolnej, wszak także dzięki ICH KRZYŻOWI I ICH OFIERZE ŻYCIA.

Eugeniusz Zdanowicz

Patrz: fotoreportaż z uroczystości na kontrybucie (s. 32)

Małe rzeczy

Specjaliści od medialnych manipulacji wprost pięją z zachwytem: *Irlandia, ten bastion katolickiej zaściankowości, kruszeje!* – *Religia na Zielonej Wyspie* – wieszczą – *już jest właściwie przeżytkiem, a mieszkańcy Dublina czy Cork bardziej zaabsorbowani są gromadzeniem per fas et ne fas doczesnych dóbr, niż oddawaniem się ewangelicznemu rozważaniom o życiu uczciwym.*

Abymy uwierzyli, że to prawda, na pole irlandzkiej bitwy o dusze wślano najpotężniejszą z propagandowych machin – miejscową, ale i angielską, i amerykańską – kulturę masową oraz jej rodzimych, a także i zaciętych – apokaliptycznych jeźdźców. Najgłośniejszym wśród nich była, jak pamiętamy, pewna

lysa śpiewaczka profanująca na oczach milionowej widowni portret Papieża Jana Pawła II. Ostatnio do pomocy (szczęśliwie zwycięskiego dla antykatolickich sił kresu tego boju nie widać) ściągnięto nawet szkockie regimenty sformowane w szyk kinowego obrazu. Chodzi o wyświełany i w Polsce (a jakżeby inaczej, premiera odbyła się nad Wisłą oczywiście w dniach obchodów 25-lecia pontyfikatu Ojca św.!) film **Siostro Magdaleny** (jakiejś przekończ o tym, że iryjskie klasztory są zapełnione przez psychopatyczne zakonnice, które z sadystrycznym zacięciem pastwią się nad będącą pod ich kuratelą żeńską młodzieżą.

– *Wszystko przed wami* – mówił z gorączką mój znajomy Irlandczyk, Conor Foley, z którym przed kilkoma laty rozmawialiśmy o sterowanej laicyzacyjnej fali przytapiającej sumienia dziedziców św. Patryka. – *Zaczyna się niewin-*

nie. Od małych rzeczy. A to gazeta nie wspomni o jakimś kościelnym święcie, o innych zaś ważnych rocznicowych obchodach zamilczą telewizyjne stacje...

Przypomniałem sobie o tym wszystkim, oglądając fotogramy, prezentowane w jednej z najbardziej prestiżowych stołecznych galerii. Ekspozycja nosiła tytuł **Warszawiaków portret niedzielny**. W ten pierwszy dzień tygodnia – tak przynajmniej chce jej Autor (jakby nie było – uzdolniony artysta obiektyw) – robimy wszystko: leniuchujemy, bawimy się, spacerujemy, uczujemy, grzebiemy w ogrodowej ziemi, ale przede wszystkim – omijamy kościoły! – *Zaczyna się niewinnie. Od małych rzeczy* – mówił Conor.

Patrząc na ten zdesakralizowany portret mojego miasta, wiem, że miał rację

Paweł Smogorzewski

Na raka skóry choruję od 10 lat – mówi Anna. – Z chorobą pogodziłam się dopiero w hospicjum, kiedy poszłam do spowiedzi i ksiądz wytłumaczył mi, że tylko Bóg wie, dlaczego cierpię i żeby wybić sobie z głowy myśl, że to za karę. Często myślę o śmierci, która dla mnie byłaby wybawieniem. Nie boję się śmierci...

Życiodajna śmierć

Marta Sieciechowicz

My, ludzie zdrowi, reagujemy lękami na słowo **śmierć**. Czy zawsze tak było? – *Stopniowo, przez skorupę lęków i izolacji od tej rzeczywistości życia, docierała do mnie najważniejsza informacja: że śmierć jest w nas 24 godziny na dobę i z nią żyjemy* – mówi ksiądz Marek Wasztyl FDP, dyrektor **Hospicjum Opatrzności Bożej** w Wołominie. – *Potrzebne jest tylko odpowiednie nastawienie, takie jak u św. Franciszka który mówił: witaj, siostrze-śmierci...*

Myślenie o śmierci zmieniło się w ciągu ostatnich lat. – *Funkcjonuje takie pojęcie: dobra śmierć* – mówi Bożena Mikulska, psycholog w hospicjum. – *Zostały przeprowadzone badania, co dzisiaj ludzie uważają za dobrą śmierć. Kiedyś dobra śmierć następowała wśród bliskich, w domu rodzinnym, w sędziwym wieku, po pogodzeniu się z Bogiem i ludźmi. Dzisiaj akcenty przesunęły się w kierunku przedmiotowym – śmierć dobra jest szybka i bezbolesna. Są to zmiany kulturowe, społeczeństwo konsumpcyjne niesie ze sobą poglądy, że człowieka można przeliczyć na określone wartości, tzn. ile może pracować i zarobić. Wszyscy chcieliby być młodzi, piękni, bogaci i zdrowi. Tematy choroby i śmierci są eliminowane z życia. Ma to związek z kryzysem rodziny i wiary, która daje oparcie i nadzieję na życie wieczne...*

Czas darowany

Najważniejszym przymiotem śmierci jest sprawiedliwość, ponieważ stawia wszystkich w jednym rzędzie – bogatego obok biednego, szczęśliwego obok nieszczęśliwego, zdrowego obok chorego. Ksiądz Wasztyl, zdruzgotanym nieszczęściem rodzinom, opowiada bajkę o sprawiedliwej śmierci: *Pewnego*

*razu Śmierć kosila ludzi i przysłała do matki, która sama wychowywała sześciorgo małych dzieci. Matka padła przed nią na kolana i zaczęła ją błagać, aby jej nie zabierała, bo dzieci umrą z głodu. Śmierć ulitowała się, ale mówi, że to nie zależy od niej i musi iść do wyższej instancji. Puka do bramy św. Piotra, przedstawia problem, ale św. Piotr mówi, że trzeba iść jeszcze wyżej. Śmierć stawiała się przed Bożym Obliczem i opowiada o matce z małymi dziećmi. Bóg wysłuchał i rzekł do Śmierci – **Idziemy nad morze. Wskakuj do wody i przynieś z dna najmniejszy kamyczek. Śmierć usłuchała rozkazu, wskoczyła i przyniosła kamyczek. Bóg rozkazał – Przegryź! Śmierć przegryzła. Bóg zapisał – Co tam widzisz? Śmierć – **Malutkiego robaczka. Pan Bóg odrzekł – Pamiętaj o tym robaczku, a o tych dzieciach miałbym zapomnieć?*****

Choroba i śmierć same w sobie są czymś złym, bo niosą ból, lzy, pustkę. To Chrystus nadał im sens, dając nadzieję nieśmiertelności, bo w Jego ranach jest nasze zdrowie.

– *Tata przed śmiercią przyjął Wiatyk, pożegnał się z wnukami – wspomina Elżbieta Zołądzkowska. – To była ogromna mobilizacja organizmu, bo każdy gest i słowo było ogromnym cierpieniem. Umarł na naszych rękach. I myślę, że tak miało być. Czuliśmy, że Pan Bóg darował nam ten czas półtora miesiąca, gdy wdziałeliśmy, że jedynym, co możemy tacie dać, to jak najwięcej miłości, wspólnego bycia z nim. Tata mówił wprost, że chce się na nas natpatrzeć i nas zapamiętać. Ten czas był nam darowany na wzrost miłości między nami. To było potrzebne tacie i nam. To było dopełnienie życia, bo miłość szlifuje się w cierpieniu i do-*

świadczeniach. Jestem za to wdzięczna Panu Bogu, chociaż bardzo mi ojca brakuje. Jestem przekonana, że ojciec jest tu z nami i pomaga mi w różny sposób. To Pan Bóg daje łaskę żywej wiary w Świętych obcowanie...

– *Nasze małżeństwo trwało 25 tygodni* – opowiada Kostek Sobolewski. – *Planowałem z Alą nasze wspólne życie i mieliśmy wrażenie, że to jest ciągle nasz miesiąc miodowy. Dzień zaczynałyśmy i kończyłyśmy modlitwą. Na ten czas czekałyśmy wiele lat. Kiedy trwało nasze małżeństwo, byliśmy szokowani, że można doświadczyć wspaniałych rzeczy, jeśli do końca zaufa się Bogu i Jego prowadzeniu. Opierałyśmy się na Maryi i to Ona podarowała nam ten czas...*

– *Pobyt w hospicjum dał mi dużo do myślenia* – mówi Anna. – *Tutaj zrozumiałam sens życia. Gdybym miała taką świadomość w wieku 18-20 lat to inaczej przeżyłabym swoje życie. Człowiek powinien żyć dla kogoś, nie tylko dla siebie. Myślę, że bardziej zajęłabym się innymi, pomocą czy dobrym słowem, byłabym bardziej wyrozumiała...*

– *Słyszałam kiedyś słowa, które wypowiedział mąż po śmierci żony: że jej choroba i pobyt w hospicjum to były najlepsze chwile ich małżeństwa* – mówi Bożena Mikulska.

Przygotowanie

Do narodzin dziecka przygotowujemy się przez 9 miesięcy. Czy można się przygotować do śmierci? Psychologia mówi o różnych postawach wobec śmierci własnej i kogoś bliskiego.

B. Mikulska: – *Śmierć jest bezwzględny prawem przyrody. Od momentu poczęcia i narodzin w życie wpisana jest śmierć. Nie da się uciec od śmierci. Nawet jeśli nie będzie się o niej myślało, nie zmienia to faktu, że każdy umiera. Jeżeli wypiera się ze swojej świadomości myśl o śmierci, przechodzi ona do podświadomości i jest poza kontrolą rozumu. To z kolei prowadzi do lęku, w stany, nad którymi później trudno zapanować. Niektóre osoby łatwiej przyjmują myśl o śmierci, bo wierzą, że zaczyna się dla nich życie wieczne. Osoby, które to wypierają, bardzo trudno sobie z tym radzą. Czasami jest ⇨*

też tak, że chory jest pogodzony z Bogiem i ludźmi, czeka na śmierć, ale rodzina reaguje lękowo i ma problem z akceptacją faktu przemijania...

Ks. M. Wasztyl: – **Żyjmy tak, jakbyśmy mieli dzisiaj albo jutro umrzeć.** Święci dochodzą do takiego etapu. Modlą się o to, aby przy mojej śmierci był ksiądz z sakramentami. I kiedy udzieli mi odpustu zupełnego i przebaczenia wszystkich grzechów, to pójdę prosto do nieba...

K. Sobolewski: – Mama Ali poprosiła ludzi ze wspólnoty Odnowy w Duchu Świętym, aby pomodlili się nad nią w szpitalu. W czasie modlitwy otworzyliśmy Pismo św. na słowach, aby **dzieki czynić Bogu i zaufać Mu do końca, On jest uzdrowieniem.** Inni pacjenci dziwili się tym modlitwom i obecności księdza, ale później sami zaczęli się spowiadać... E. Żołędziowska: – **Był taki moment, gdy nie powiedzieliśmy tacie, że jest z nim bardzo źle.** Tata zaś nie powiedział nam, że o tym wie. Wszyscy powiedzieliśmy o tym bez słów. Tata był bardzo otwarty w swoich przeżyciach: dzielił się swoimi dolegliwościami, czasami było to przejmujące aż do bólu, bo człowiek jest bezsilny w takiej sytuacji. Tata nie bał się samej śmierci, bo był żołnierzem w AK i walczył w **Powstaniu Warszawskim**, ale bał się o naszą przyszłość – jak sobie damy radę bez niego. Tydzień przed jego śmiercią miałam rekolekcje i tylko na nocie przyjeżdżałam do domu. Mówił wtedy do mamy: **żeby tylko Ela zdążyła przyjechać...** W czasie tych rekolekcji przyjechaliśmy wszyscy do taty. Ksiądz odprawił w domu Mszę św. i udzielił tacie Komunii św. Ta Msza była darem od Pana Boga, bo tata wyraźnie czekał na koniec moich rekolekcji. Po nich słabł z godziny na godzinę. Później miał przerzut do mózgu i nie mógł wykonywać wszystkich czynności – był z nich ogalający. Mówił np., że **teraz nie czuje połowy głowy.** Z minuty na minutę wiedzieliśmy, co się z nim dzieje. Kiedy mu mówiłam, że ja też się boję, to go uspokajało. Bycie przy chorym jest czymś największym, co można mu dać. I chociaż każdy czło-



foto: W. Świdarski

wiek umiera sam, to jednak wieź z drugą osobą i z Bogiem ułatwia mu odejście...

Ochodzenie

Jan Paweł II, od początku pontyfikatu, szczególną uwagę zwraca na chorych, słabych i umierających. Wypowiada na ten temat opinie niepopularne w dzisiejszym świecie, który odrzuca tych ludzi: – **Godność człowieka umierającego ma swoje źródło w tym, że jest on istotą stworzoną oraz w jego osobistym powołaniu do życia wiecznego** – mówił na zgromadzeniu ogólnym Papieskiej Akademii **Pro Vita** 27 lutego 1999 roku. Spojrzenie, przeniknięte nadzieją potrafi dostrzec nową postać naszego śmiertelnego ciała, które ulega rozkładowi. **A kiedy już to, co niszczy, przynadzie się w nieśmiertelność, wtedy sprawdzą się słowa, które zostały napisane: Zwycięstwo pochłonęło śmierć...**

Choroba i śmierć zmieniają punkt widzenia, przewartościowują nasz świat, nic nie jest już takie same.

E. Żołędziowska: – **Kiedy moja choroba się zaostrzyła i zrozumiałam, że mogę umrzeć, doznałam samotności. Miałam kochających rodziców, przyjaciół, lekarzy, ale w krytycznym momencie byłam sama.** Kiedy mój stan się poprawił, cały czas miałam świadomość, że moment odejścia jest najważniejszą chwilą w życiu człowieka...

K. Sobolewski: – **Rozmawialiśmy, ale mówienie sprawiało Ali trudność.** Powiedziała, że: **jak nagle wszystko może się zmienić.** Człowiek jest bez-

bronny w takich sytuacjach, kiedy wszystko wydaje się wspaniałe, a po chwili się rozwała...

Ks. M. Wasztyl: – **Z pozycji łóżka człowieka umierającego świat wygląda zupełnie inaczej – czasami chce mi się śmiać albo płakać, albo kląć, kiedy widzę, jacy ludzie są nierozumni i myślą, że będą żyć wiecznie, gromadzą sobie tutaj skarby, które mól i rdza zżera, a przecież wszystko to zostawia. Zapominają, że nagi z łona matki wyszedł i nagi do łona matki-ziemi wejdzie.** Śmierć trzeba przyjąć wcześniej, dzisiaj, bo ona żyje we mnie, rodzi się z zalążkiem śmierci. Umieramy codziennie, tylko musimy mieć tego świadomość.

Pożeganie

Chwila śmierci jest nie do pojęcia rozumem, nie do wyobrażenia – można ją przeżyć tylko raz. Śmierć kogoś bliskiego pozostawia na nas żywych niezatarty ślad.

E. Żołędziowska: – **Kiedy tata już wiedział, że to są jego ostatnie dni, mówił: Wiesz, najgorsze jest to, że nie mogę sobie wyobrazić, jak będzie wyglądało to odejście.** Odpowiadałam, że też nie wiem. Chciał rozmawiać na te tematy. Bardzo mu pomagało, kiedy rozmawialiśmy o ewangelicznych obcowaniu, że jednak będziemy razem, że to nie jest koniec. Widziałam, że przynosiło mu to ulgę, a nam też dawało pokój. Trzynastego października zaczęła się agonia. Lekarz błagał wtedy tatę, aby pozwolił się zabrać do szpitala. Ale tata powiedział, że nie chce i woli cierpieć, ale z tęsknoty za nami nie przeżyje. Po-

dziękował lekarzowi i pielęgniarkom. Poprosiliśmy, aby przyjechał ksiądz z hospicjum. Tata się dusił i nie można było mu pomóc. Pan Bóg pozwolił mi wtedy namacalnie uczestniczyć w śmierci Pana Jezusa, bo Jego śmierć na krzyżu była bardzo podobna do odejścia mojego taty...

K. Sobolewski: – **W nocy zaczęło dochodzić do mojej świadomości, że to może być koniec.** Przedtem nie dopuszczałem takiej myśli. Nad ranem ordynator powiedział, że trzeba Alę przewieźć na intensywną terapię szpitala wojewódzkiego, bo nie jest już w stanie walczyć o jej życie. Wtedy mocno do mnie dotarło, że sytuacja jest bardzo tragiczna. Pożegnaliśmy się przed wejściem na **intensywną terapię** właściwie tylko spojrzeńiami. Kiedy Ala straciła świadomość przyszedł ksiądz i pobłogosławił ją na koniec. Dla mnie mocnym argumentem jest w takiej sytuacji postawa Hioba, który miał wszystko, był do końca szczęśliwy a w jednej chwili wszystko stracił i był do końca opuszczony. **Skoro przyjąłem dobro, to dlaczego mam nie przyjąć zła?** Jeśli w takim momencie zrezygnuję z oparcia na Bogu i zbuntuję się przeciwko Niemu, to co mi pozostanie? Na czym się oprę?

Eutanazja

W dosłownym tłumaczeniu **eutanazja** oznacza **dobrą śmierć**. Nie wiadomo jednak dla kogo – dla pacjenta, jego bliskich czy dla lekarza?

B. Mikulska: – **Jeden raz spotkałam się z prośbą o eutanazję, kiedy ból bardzo się nasilił.** Kiedy został opanowany, wszystko było w porządku i chory więcej nie prosił, aby go zabić. Założycielka pierwszego hospicjum w Anglii – dr Saunders mówiła, że niekiedy prośba chorego o eutanazję jest prośbą o uśmierzanie bólu i cierpienia. Kiedy nastąpi, nie podtrzymuje swojej prośby. Jest to raczej rozpaczliwa prośba: **pomóżcie mi, żeby przestało boleć!** Dla chorego można zrobić dużo więcej niż go umścić. Można z nim być, trwać z nim w jego chorobie, nieść ulgę jego cierpieniom i obawom, że będzie umierał w osamotnieniu, albo że będzie bolał. W obliczu śmierci chorzy zaczyna-

ją doceniać wartość miłości i przyjaźni, zmieniają się ich relacje z bliskimi. Coś się traci z życia, ale otwierają się nowe przestrzenie. Nikt nie ma prawa zabierać ludziom chorym szansy na przeżycie swojego życia do końca, na rozwój, który wtedy następuje. **Eutanazja odziera śmierć z jej tajemnicy, sprawia, że staje się ponurym zabiegiem kończącym życie.** W encyklice **Evangelium Vitae** Papież wyraźnie pisze, że **trzeba eutanazję określić mianem fałszywej litości, a nawet uznać ją za niepokojące wynaturzenie: prawdziwe współczucie bowiem skłania do solidarności z cudzym bólem, a nie do zabicia osoby, której cierpienia nie potrafi się zmniejszyć...**

Miłość i dobro

Czy rzeczywistość śmierci jest kresem wszelkiej egzystencji? Czy potem nie ma już nic?

K. Sobolewski: – **Bóg pozwolił nam przeżyć coś wspaniałego i myślę, że przygotował Alę do przejścia do nowego życia.** Ona była przygotowana do tego, mimo że nikt tej śmierci się nie spodziewał. Była przygotowana do przejścia granicy między życiem a śmiercią. Teraz jesteśmy rozdzieleni i musimy wspólnie przez to przejść, ale kiedys się zobaczymy...

E. Żołędziowska: – **Jestem pewna, że Pan Bóg rozchylił dla taty Swoje ramiona.** Wiadomo, że jeżeli traci się bliskich, to po ludzku to boli, ale na płaszczynie nadprzyrodzonej płacz i żal może być tylko nad sobą, bo tacie to już nic nie pomoże. A jeśli jestem przekonana o życiu wiecznym, to powinienam się naprawdę radować, że już ten próg przeszedł. I mam świadomość, że się spotkamy...

Dzisiejsza cywilizacja, która odbiera człowiekowi nadzieję życia wiecznego, krzywdzi go w najbardziej intymnych zakamarkach duszy. Tę rzeczywistość życia najlepiej wyraził Paweł Apostoł: **Nikt zaś z nas nie żyje dla siebie i nikt nie umiera dla siebie: jeśli bowiem żyjemy, żyjemy dla Pana; jeżeli zaś umieramy, umieramy dla Pana.** I w życiu więc i w śmierci należymy do Pana...

Marta Sieciechowicz

Jerzy Trammer Wiedza i przesąd

Miejscowi żyli na tej wyspie w rejonach położonych powyżej tysiąca metrów nad poziomem morza. Choć w dolinach istniała żyzna gleba i lasy pełne możliwych do upolowania zwierząt. Przyczyną była wiedza. Mówiła, że tam niżej znajdują się złośliwe duchy, które zsyłają groźną chorobę na tego, kto wejdzie na ich terytorium.

Kiedy na wyspę przybyli biali, zaczęli przekonywać tubylców, że ich wiedza jest przesądem: *Nie duchy – tak twierdzili – stanowią źródło chorób, ale komary żyjące poniżej tysiąca metrów i przenoszące chorobotwórcze pierwotniaki Plasmodium powodujące malarię.* Zrazu krajowcy wiedzę białych mieli za przesąd czy zabobon. Lecz potem, porażeni ich potęgą, zaczęli się wahać. W końcu zwątpili w duchy jako w przyczynę malarii. Obecnie chętnie schodzą polować do malarycznych dolin, gdzie przecież duchów nie ma.

Dziś wierzą, że malarię wywołuje trucizna zawarta w pożywieniu, które przygotowuje i podaje kobieta mająca menstruację. Misjonarz, chcąc zwalczyć nowy przesąd, zabrał ze sobą do szpitala tubylców zarówno chorych, jak i zdrowych. Pobrano im krew i sami mogli zobaczyć pod mikroskopem, że krew chorych zawiera Plasmodium, a krew zdrowych – nie.

Po powrocie do wioski z przejściem opowiadali, iż wiedza już, jak wygląda trucizna zawarta w posiłku podanym przez menstruującą kobietę. Byli szczęśliwi, że ich wiedza została potwierdzona przez wielką, zbrojną w mikroskopy naukę białych, że przeszła – jak powiedziałby naukowiec – weryfikację empiryczną.

W wyniku spotkania kultur przesąd zastąpił wiedzę. Wiedza o duchach była równie skutecznym narzędziem profilaktyki malarii jak wiedza białych. Przesąd nie zapobiega malarii, a wywołuje jedynie mizoginię (lub z niej się wzięął). ■

ZWYCZAJNIE RZECZ BIORĄC

W sierpniu 2003 roku rząd L. Millera przyjął do realizacji *Krajowy Program działań na rzecz Kobiet – II etap wdrożeniowy na lata 2003-2005, zaproponowany przez Pełnomocnika Rządu ds. Równego Statusu Kobiet i Mężczyzn*. Zarówno sam Program, jak i jego przyjęcie przez rząd nie wzbudziły szczególnego zainteresowania mediów. Życie polityczne jest w naszym kraju tak bogate w wydarzenia i afery, że kwestia kobieca przemknęła przez media prawie niezauważona. Gdy Forum Kobiet Polskich zwołało we wrześniu konferencję prasową i przedstawiło swoją opinię o programie, media, szczególnie te związane z Kościołem dostrzegły wagę problemu, lecz polityczna rzeczywistość III RP szybko usunęły całą kwestię w cień.

Pani Minister – Pełnomocnik Rządu ds. Równego Statusu Kobiet i Mężczyzn – wielu środowiskom kojarzy się raczej z feminizmem niż z konkretną, trudną i systematyczną pracą na rzecz kobiet i ich rodzin. By nie być stronniczym, przyjrzyjmy się więc nowemu programowi i sprawdźmy, co zwyciężyło tym razem, ideologia czy pragmatyka działań.

Kobieta, czyli mężczyzna

Wprowadzenie do *Programu*, zapowiadające *kompleksowe podejście do rozwiązywania problemów kobiet* budzi pewien niepokój, bowiem oznacza ono powołanie centralnych i regionalnych jednostek organizacyjnych odpowiedzialnych za monitorowanie polityki reorganizacji, poprawy, rozwoju i oceny procesów politycznych tak, aby perspektywa równości płci była włączona we wszystkie polityki na wszystkich poziomach i na wszystkich etapach przez podmioty zaangażowane w tworzenie polityki... (cyt. *Krajowy Program*, s.5).

Najważniejszym celem *Programu* okazuje się *usunięcie przeszkód utrudniających kobietom aktywne uczestnictwo w życiu publicznym*... Jak rząd ma zamiar usuwać te przeszkody i jak zamierza uszczęśliwić polskie kobiety egzekwowaniem praw kobiet w sferze publicznej i prywatnej?

Zwykle każda strategia walki ideologicznej wymaga trafnego doboru pól, na których prowadzone będą działania. Autorzy *Programu* wybrali 9 takich pól.

Są wśród nich: prawa kobiet jako prawa człowieka, aktywność ekonomiczna kobiet, przemoc wobec kobiet, edukacja, udział we władzach, obecność w środkach masowego przekazu, współpraca z organizacjami pozarządowymi i strategii badawcze. Widzimy więc, że całkowicie pominięto tzw. *tradycyjne konteksty kobiecości*, czyli macierzyństwo i rodzinę, tak jakby prawa kobiet zrównane z prawami człowieka (czytaj: mężczyzny), wymagały usunięcia wszelkich historycznych (?) różnic między płciami.

Czy jest to tylko niedopatrzenie autorów *Programu*? Niestety nie. Na 72 stronach tekstu co najmniej 18 razy pojawiają się jednoznaczne postulaty podjęcia pracy nad świadomością społeczeństwa, a szczególnie kobiet, *by zmienić nasze poglądy z tradycyjnych, dyskryminujących na współczesne*. Żądania dotyczą: *wyeliminowania stereotypów tradycyjnych ról kobiet i mężczyzn* (s. 48) drogą *zrewidowania programów i materiałów edukacyjnych, dydaktycznych, kon-*

rolowania nadawców mediów publicznych, organizowania szkoleń dla pracowników reklam, środków masowego przekazu oraz służby cywilnej a także spowodowania odpowiednich zmian w języku publicznym (ss.50, 56, 63). Wprost domaga się *podmieszczenia świadomości społeczeństwa w kwestii równości płci*, bowiem *tradycyjne, patriarchalne stereotypy dotyczące ról kobiet i mężczyzn w rodzinie i życiu publicznym są silnie ugruntowane*, co prowadzi do braku dostatecznego zrozumienia dla *demokracji parytetowej (!?!)* wśród przedstawicieli klasy politycznej... (s. 9).

Podręczniki szkolne, zawierające *tradycyjną wizję kobiety i mężczyzny, obciążoną stereotypami płci i konserwatywnymi wzorami kulturowymi* (s. 47) powodują, zdaniem autorów *Programu*, nieobecność kobiet w życiu politycznym. Najważniejsze wady krytykowanych podręczników to: *promowanie pełnej rodziny i niepracującej matki*, a więc sytuacji *odbiegających od rzeczywistości*. Trudno nie zadać w tym momencie pytania o rolę modeli wychowawczych w edukacji szkolnej. Czy podręczniki szkolne mają informować i oswajać dzieci z całym złem tego świata, czy wychowywać wedle modeli, które uznajemy za wartościowe i godne przekazania kolejnym pokoleniom? Czy dla dziecka, matki i ojca rodzina pełna – to, zdaniem autorów *Programu*, rozwiązanie również korzystne jak rodzina niepełna?

Wróćmy do *Programu*, który chce wyrównywać kobiece szanse drogą *uzyskania zrównoważonej reprezentacji kobiet i mężczyzn we wszystkich (!) sektorach aktywności i zawodach* (s. 20), poprzez *przelamywanie stereotypów i zachęcanie kobiet do kariery w nietradycyjnych zawodach !?!* (s. 21). Tradycja staje się w *Programie* źródłem wszelkiego zła. Nawet *przemoc wobec kobiet* jest, zdaniem autorów *Programu*, rezultatem *tradycyjnych praktyk, zwyczajów i zachowań o podłożu rasowym, płciowym, językowym lub religijnym*... (s. 26). Inne źródła przemocy, jak np. brutalizacja i okrucieństwo w mediach, zanik dobrych obyczajów naka-



W. Świerński

zających szacunek dla kobiet i słabszych – pominięto. A jeśli bicie żon i dzieci to efekt zaburzeń osobowości mężczyzny? Takiej możliwości *Program* nie przewiduje, bo zamiast leczenia, terapii czy psychologicznego wsparcia dla rodziny dotkniętej przemocą, proponuje jedynie *izolację sprawcy, nakaz opuszczenia miejsca zamieszkania i zakaz zbliżania się do ofiary* (s. 27).

Trudno nie zgodzić się z autorami *Programu*, gdy domagają się zmiany praktyki, w której kobieta musi uciekać z dziećmi z mieszkania przed stosującym przemoc mężem. To prawda, że takim kobietom należy się bezpieczeństwo we własnym mieszkaniu, ale pozostaje otwartym pytanie, dlaczego program planuje powołanie poradni diagnostyczno – konsultacyjne dla osób

transseksualnych (s. 53), a mężczyznom, stosującym przemoc wobec bliskich i najwyraźniej potrzebującym konsultacji oraz terapii, oferuje się jedynie kary i nakazy eksmisji?

Szczególne niepokój budzą pomysły *przyspieszonej pracy ideologicznej w mediach*, którym nakazuje się *promocję nowego, partnerskiego, nie dyskryminującego modelu relacji kobieta – mężczyzna*. Od tego uzależnione mają być koncesje. Dla dziennikarzy zaplanowano stosowne szkolenia (s. 63). Jedyne, co budzi nadzieję, to *uświadamianie potrzeby eliminowania w mediach pornografii i przemocy wobec kobiet*. Ale proporcje między liczbą postulatów wzywających do zwalczania tradycyjnych ról i stereotypów, a liczbą zaleceń unikania przemocy, pornografii i prostytucji w mediach mówią same za siebie. Dlatego należy się obawiać, że w wyniku *monitorowania i kontrolowania* podręczników, mediów i języka publicznego przemoc pozostanie, a znikną *Chłopi, Noce i Dnie, Ania z Zielonego Wzgórza* i wiele podobnych dzieł, bowiem pokazują małżeństwo i rodzinę jako wartości, dla których kobiety chcą zrezygnować z władzy i kariery.

I tu jest pies pogrzebany. *Program działań na rzecz Kobiet* domaga się przede wszystkim udziału kobiet w życiu publicznym. Władza, udział w decyzjach, parytetowa demokracja, czyli motyw: *więcej władzy dla kobiet* – pojawia się co najmniej 21 razy. Autorów *Programu* szczególnie niepokoi to, że *kobiety stanowią większość pracowni-*

ków zatrudnionych przy pracy o dużej wrażliwości na zmiany na rynku pracy, stosującym w grupie o najwyższym prestiżu społecznym, tj. wyższych urzędników państwowych oraz kierowników – kobiety są w mniejszości. Pomiędzy na chwilę dość powszechnie znane wyniki sondaży, z których wynika, że politycy i ministrowie nie cieszą się w Polsce ani stabilnym zatrudnieniem, ani prestiżem i zapytajmy: czy nauczycielka, pielęgniarka, lekarka to zawody niegodne szacunku?

Czy naprawdę jedynym sposobem osiągnięcia przez kobiety statusu równego mężczyznom jest ich obecność we władzach? Czy nie obraza się kobiet, postulując zasadę parytetów, czyli procentowego określania obecności kobiet na listach kandydatów do organów i instytucji krajowych oraz międzynarodowych? Czy bez *kwotowania* szanse polskich kobiet *aspirujących* do władzy są naprawdę mniejsze niż mężczyzn? Czy trzeba programu rządowego, by uruchomić mechanizm *zrównoważonego udziału kobiet i mężczyzn we władzach publicznych szkół wyższych lub w strukturach zarządzania mediami* (ss. 59, 62,)? I czy powołanie przez wojewodów postulatów wzywających do zwalczania tradycyjnych ról i stereotypów, a liczbą zaleceń unikania przemocy, pornografii i prostytucji w mediach mówią same za siebie. Dlatego należy się obawiać, że w wyniku *monitorowania i kontrolowania* podręczników, mediów i języka publicznego przemoc pozostanie, a znikną *Chłopi, Noce i Dnie, Ania z Zielonego Wzgórza* i wiele podobnych dzieł, bowiem pokazują małżeństwo i rodzinę jako wartości, dla których kobiety chcą zrezygnować z władzy i kariery.

Gdyby rzecz nie była tak poważna, skomentowalabym *Krajowy program Działania na rzecz WŁADZY kobiet* tak: *to wszystko już było*. Pięćdziesiąt lat temu obiecywano uciskany przez burżuazję i posiadaczy ziemskich robotnikom dyktaturę proletariatu, która stworzyć miała komunistyczny raj na ziemi. Dzisiaj proponuje się dyskryminowanymi kobietom walkę o władzę i, w konsekwencji, feministyczny raj na ziemi, wolny od kłopotów rodzinnych, macierzyńskich i problemów z mężami. Tylko, czy w tym sfeminizowanym rajku będą jeszcze przychodzić na świat jakiegoś dzieci?

Barbara Fedyszak-Radziejowska

100 LAT MICHALITÓW W PAWLKOWICACH

Sługa Boży ks. Bronisław Markiewicz (1842 – 1912), założyciel Zgromadzenia Świętego Michała Archaniola: gąteży męskiej (michalitów) i gąteży żeńskiej (michalitek), gromadził sieroty i biedne dzieci na ziemi galicyjskiej, wychowując je do potrójnej pracy: religijnej, fizycznej i intelektualnej. Pozytywne wyniki jego pracy zauważyli radcy krakowscy działający w sekcji dobroczynnej zarządu miasta Krakowa i poprosili, aby wychowawcy z Miejsca Piastowego (k. Krosna) objęli opuszczony dworek poariański w Pawlikowicach koło Wieliczki. Pierwsza grupa michalitów i michalitek przybyła do Pawlikowic w sierpniu 1903 r. z Janem Latuskim na czele – późniejszym kapłanem i wychowankami. Działalność zaczęto od budowy michalickiego zakładu wychowawczego.

Potrójna praca

Świątynia w Pawlikowicach, w której odbywały się uroczystości, jest poświęcona św. Michałowi Archaniołowi, a jej konsekracji dokonał 29 września 2001 r. Kardynał Franciszek Macharski. Jej budowę rozpoczęto pod koniec lat osiemdziesiątych. Wcześniej, wierni tej parafii, która istnieje od ponad 50 lat, modlili się w kaplicy, znajdującej się w domu zakonnym. Opieką duszpasterską tutejszego klasztoru jest objęty również kościół rektoralny pod wezwaniem św. Floriana w Chorągwy. W Pawlikowicach znajduje się też Nowicjat Zgromadzenia Świętego Michała Archaniola, który

rozpoczął swoją działalność 80 lat temu – 19 marca 1923 r. – a więc dwa lata po zatwierdzeniu zgromadzenia.

W centrum działalności michalitów i michalitek w Pawlikowicach było i jest wychowywanie dzieci i młodzieży. Obecnie prowadzony jest tam Dom Dziecka *Moja Rodzina* dla dzieci i młodzieży męskiej. Nazwę przyjęto po wznowieniu działalności wychowawczej w 1993 roku. Do 1951 r. posługiwano się nazwą: *Zakład Wychowawczy*. Niestety cały dorobek materialny *Zakładu Wychowawczego*, zdobywany z wielkim trudem a służący wychowaniu młodzieży, przejęły wła-

dze komunistyczne. W ciągu kilku ostatnich lat zgromadzenie przeprowadziło wiele remontów w byłym *Zakładzie Wychowawczym*, aby na nowo rozpocząć pracę edukacyjną, zgodną ze swoim charyzmatem.

Przy parafii rozwinęła swoją działalność teatr amatorski, oratorium dla dzieci oraz zespół *Jubileum*. We wszystkich uroczystościach parafialnych uczestniczy czynnie *Zespół Ludowy Mietniowiaci*, pielęgnujący folklor ludowy ziem podkrakowskich.

Wszyscy zgromadzeni na jubileuszowej uroczystości uczestniczyli w rozważaniach modlitwy różańcowej, a łącząc się z Jasną Górą wspólnie odśpiewali *Apel*. Dopelnieniem uroczystości były tradycyjne *Rozmowy niedokończone w Radiu Maryja*, prowadzone z tymczasowego studia w Pawlikowicach. Dotyczyły one działalności michalitów.

Przedłużeniem obchodów jubileuszowych był *Zjazd Przełożonych i Proboszczów Michalickich Placówek*, który odbywał się 8 i 9 października 2003 roku w Pawlikowicach. Obradom przewodniczył Ojciec Generał ks. Kazimierz Tomaszewski. Pierwszy dzień zjazdu w dużej mierze poświęcony był obchodom jubileuszowym pawlikowickiej placówki. W wygłoszonych referatach ukazane zostało podłoże historyczne powstania placówki i jej zasługi na polu wychowawczym. Wieczorem w sali widowiskowej wystawiona została sztuka: *Wspomnienia z dawnych lat, wspomnienia z tamtych dni* przygotowana przez młodzież parafialną, wychowanków z domu dziecka *Moja Rodzina* oraz przez Stanisławę Madej, Stanisława Bągiera i Grzegorza Jaworskiego. Całością kierował Stanisław Tąbara – kierownik *Kola Teatralnego* przy Parafii w Pawlikowicach. Oprawę muzyczną prowadził zespół *Jubileum*.

Na zakończenie zjazdu, 9 października 2003 r., odprawiona została uroczysta Msza św. koncelebrowana pod przewodnictwem J. E. ks. Kardynała Franciszka Macharskiego.

ks. Kazimierz Kilar CSMA
ks. Czesław Knebel CSMA

10-LECIE OŚRODKA WYCHOWAWCZEGO NA BEMOWIE

Na samym początku był zapal ks. Jacka Swęda CSMA. Wiedziony michalickim charyzmatem służenia młodzieży potrzebującej moralnego i duchowego wsparcia w roku 1991 zaczął skupiać wokół siebie coraz liczniejszą grupę nastolatków z warszawskiego osiedla Bemowo. Katechizował, wskazywał drogę... Przemierzał podwórka i osiedlowe alejki. Nie raz amboną mu były klatki schodowe wielkich bloków mieszkalnych. Gdy tylko można było, wyciągał młodych ludzi poza miasto – na wycieczki i obozy...

Program pisze życie

W michalickiej parafii pw. Matki Bożej Królowej Aniołów nikt nie ma wątpliwości, że gdyby nie ten (duszpasterzujący obecnie w Nowej Słupi) kapłan, nie można by dzisiaj prowadzić tylu przykościelnych inicjatyw edukacyjnych i wychowawczych. Po prostu nie powstałby Ośrodek *MICHAEL*, którego dziesięciolecie istnienia właśnie obchodzimy.

– W swej pracy, zgodnie z dobrze sprawdzonymi zaleceniami ks. Bronisława Markiewicza, stosujemy metodę sprzedającą. Staramy się więc robić wszystko, aby młodzież powierzona naszej pieczy, miała jak najmniej okazji do tego, aby zejść na złą drogę – mówi dyrektor ośrodka ks. Mieczysław Kucel CSMA. – To dla niej przede wszystkim przeznaczona jest, zaadoptowana z salki katechetycznej, kawiarenka nosząca nazwę *Przystań u Michała*. Tutaj mogą się spotykać, rozmawiać, nawiązywać przyjaźnie. Wiemy, jak niejednokrotnie trudno jest znieść nastolatkowi samotność czterech ścian, nawet najbardziej zamożnego domu. A rodzice: zaganiani, w rozjazdach, albo po prostu nie potrafią udźwignąć ciężarów życia...

W *Przystani u Michała* obowiązują całkowita abstinencja. Nie wolno palić papierosów, pić alkoholu i zażywać narkotyków. W sportach rozmiarów salce, której znaczną część stanowi barowa lada, zza której serwowane są, po najniższej chyba cenie w stolicy: herbata, kawa, soki i słodczyce, znajdują się trzy stanowiska komputerowe. Poza żywą rozmową i wymianą wrażeń jest więc i możliwość *chatowania*. – Wiemy, że Internet może być groźny, ale uczymy naszych podopiecznych odpowiedzialnego korzystania z niego – mówi ks. Mieczysław.

Przystań u Michała, by użyć medycznej przenośni, to coś na kształt korpusu ośrodka. Jego serce zaś radośnie bije w *Oratorium Michatka*. Tam czas, przy nauce i zabawie, spędzają pod okiem wykwalifikowanych pedagogów i wolontariuszy najmłodsze dzieci. Przychodzą tutaj zazwyczaj bezpośrednio po szkole. Znajdują nie tylko pomoc przy odrabianiu lekcji, lecz także ciepły posiłek. Są też pod opieką psychologa, logopedy, reedukatora i specjalistów od gimnastyki korekcyjnej. Uczestniczą również w zajęciach plastycznych, teatralnych, muzycznych czy tanecznych. Prowadzona jest z nimi, przez godzinę w tygodniu, katecheza.

Aby całe ciało *MICHAELA* mogło funkcjonować, potrzeba nie tylko serca, lecz także mięśni. Można je rozwijać w bemskiej siłowni. – *Mamy od sześćdziesięciu do stu starych bywalców* – mówi jeden z odpowiedzialnych za działalność ośrodka Marek Kuć – zastępca ks. Dyrektora. W klasztornych podziemiach tego gabinetu fizycznej tężyzny wytracana jest zbędna ilość energii, która mogłaby zostać spożytkowana w mało chwalebnych celach. Warto tu wspomnieć o innych sekcjach dla młodzieży: ściana wspinaczkowa, ae-

robik, *fitness*, gimnastyka, sala prób muzycznych i chór polifoniczny *Sonante*.

To nie jedynie propozycje jakie ośrodek oferuje gimnazjalnej i licealnej młodzieży. W znajdującej się pod świątynią wielofunkcyjnej sali odbywają się także koncerty – od rockowych do muzyki poważnej. Tam też prowadzone są wieczory literackie i spotkania z wybitnymi twórcami. – *Bliskość innych centrów kultury wymusiła na nas takie ustawienie oferty artystycznej, abyśmy mogli stać się dla nich konkurencyjni* – mówi, widać dobrze rozumiejący zasady wolnorynkowej gry, ks. Mieczysław. – *Marzy nam się, aby została dokończona budowa naszej sali teatralno-koncertowej. Wtedy, na pewno, nikt już nie będzie stał na dworze, w chłodzie, kiedy znowu da pokaz swego kunsztu najgłośniejszy, dosłownie i w przenośni, zespół chrześcijańskiego rocka – Armia albo też wystąpi jeden z dwudziestu, mających w salach ośrodka swoje próby, zespołów muzycznych...*

Ośrodek Wychowawczo – Profilaktyczny *MICHAEL* finansowany jest przez *Biurowo Polityki Społecznej Miasta Stołecznego Warszawy, Ministerstwo Edukacji Narodowej, Krajowe Biuro do Spraw Przeciwdziałania Narkomanii, Warszawskie Centrum Pomocy Rodzinie*. Sponsorują go także osoby prywatne i, rzecz jasna, samo zgromadzenie.

– *A kto bierze odpowiedzialność za program pracy?* – pytamy na zakończenie naszej wizyty ks. Mieczysława. – *Program pisze samo życie, a w jego centrum zawsze stoi człowiek i jego dobro. I to doczesne, i to wieczne...* – odpowiada filozoficznie.

ks. Sylwester Łącki CSMA
Paweł Smogorzewski



foto: P. Zyczeński

Szansą polskiej rodziny jest jej chrześcijaństwo: mądre, wolne od uzależnień, świadome cywilizacyjnych zagrożeń i potrafiące sobie z nimi radzić, a przede wszystkim żyjące we wspólnocie modlitewnej – w nieustającym dialogu z Bogiem, otwarte na Ducha Świętego. W tworzeniu takiej zdrowej katolickiej rodziny pomoże nam częste odprawianie różańca, niedzielna Msza święta, rodzinna modlitwa i wspólny niedzielny stół.

Szansa rodziny

Rodzina to centrum ludzkości i Kościoła. Tylko zdrowe rodziny mogą tworzyć zdrowe społeczeństwa. Od losów polskiej rodziny zależą więc losy Polski. Jednak kondycja polskich rodzin nie jest dobra – powiedział dr Robert Pietras podczas tegorocznej **Pielgrzymki Rodzin** na Jasną Górę, która trwała od 26 do 28 września. – *Rośnie liczba rodzin nieformalnych, a 20 proc. to rodziny niepełne...*

Jakie są więc szanse polskiej rodziny? Na co wszyscy winniśmy zwracać uwagę, by zmienić los rodzin katolickich? Jan Pospieszalski, dziennikarz, znany ze **Studia Otwartego Telewizji Puls**, zwrócił uwagę na *przeakcentowa-*

nie sfery seksualności, złe pojmowanie demokracji i zniekształcony obraz społeczeństwa tworzone przez media... Media nie są sprzymierzeńcem rodziny, ale są elementem przestrzeni, w której jesteśmy zanurzeni. Postawił też tezę: szansą rodziny chrześcijańskiej jest radykalne chrześcijaństwo...

Bp Stanisław Stefanek, Przewodniczący **Rady ds. Rodziny**, apelował o głoszenie pełnej prawdy o Bogu i rodzinie chrześcijańskiej. Ks. Mieczysław Piotrowski TCh, redaktor naczelny kwartalnika **Milujcie się** zachęcał wszystkie ruchy kościelne, zakony i czasopisma katolickie do tego, by promować ideę czystości przedmałżeńskiej.

Rodzina modląca się razem jest wspólnotą – to jedno z pierwszych słów homilii, którą wygłosił bp Edward Frankowski. Proponował, aby zamienić obrazy telewizyjne na obrazy życia. Zwrócił uwagę, by więcej rozmawiać z dziećmi, a jak najmniej ślepczyć przed telewizorem. Według niego: katolicka rodzina winna być nieustannie w dialogu z Bogiem. Gdy pomagamy sobie wzajemnie w uświęcaniu się, gdy się wychowujemy, przyjmujemy każde poczęte życie – realizujemy Boży plan. Rodzina winna łączyć się przez Mszę niedzielą i wspólną modlitwę... Ksiądz Biskup przypomniał, że różaniec wychowuje do życia w rodzinie, jest szkołą Maryi, jest kontemplacją oblicza Ojca, wnikaniem w tajemnicę Chrystusa.

Ks. prof. dr hab. Janusz Nagórny przypomniał, iż w świetle **Karty Praw Rodziny** i nauczania Jana Pawła II *fundamentem życia społecznego jest rodzina, która winna być, pierwszą szkołą człowieczeństwa i podstawową drogą Kościoła, zwłaszcza tam, gdzie ideał rodziny i społeczeństwa natrafia na niebezpieczeństwo rozdziału. Rodzina ma prawo do wyboru systemu politycznego, prawo do dobrej polityki prorodzinnej i poszanowania praw do życia dzieci...*

Centralnym punktem **Pielgrzymki Rodzin** była Msza św. na Jasnej Górze z udziałem ponad dziesięciu tysięcy osób. Ksiądz bp Stanisław Stefanek przypomniał, że *dzisiejsze korzystanie z wolności często musi polegać na budowaniu murów odgradzających nas od uzależnień, od zła... Celnie zauważył, że dziś marnuje się talent rodziny, a naciski społeczne odciągają od podstawowych ról rodziny. Dziennikarze pomniejszają rolę rodziny, a rząd promuje politykę wręcz antyrodziną. Na te antyrodzinne decyzje otrzymał 200 milionów euro od Parlamentu Europy. Za cenę dopłat unijnych chce zabrać nam Boga. To my możemy postawić światową zapórę wobec tych pomysłów. Odwaga jest przestrzenią wolności...*

Marta Damasiewicz



foto: W. Świdorski

Nieraz się zastanawiamy, jak to się mogło stać, że tak wielki kraj, jakim była przedzbiorowa Rzeczypospolita, mógł zostać, na oczach ówczesnego świata, rozszarpany na strzępy? Oczywiście, historia mówi wiele. Czy jednak dla współczesnych coś z tej wiedzy wynika?

Nie lękajmy się!

Tak się składa, że właśnie dziś mamy wyjątkową okazję obserwować – prowadzoną w sposób modelowy – grę polityczną, w której karty w Europie znów próbują rozdawać ci sami rozgrywający od XVIII wieku, czyli Francja i Niemcy, a także, dźwigająca się z kolejnej smuty, Rosja. Nie sposób tu pominąć Wielkiej Brytanii. Znaczącą rolę w tym przedsięwzięciu ma szansę odegrać także ktoś całkiem nowy na arenie międzynarodowej, a mianowicie Włochy. Stwarza to premierowi Berlusconiemu możliwość powrotu na europejskie salony.

Zacznijmy jednak od tego, że we wrześniu 1939 r., jak przed stu pięćdziesięciu laty, w wyniku tajnych porozumień na linii Berlin – Moskwa, Rzeczypospolita stała się kolejnym raz ofiarą agresji dwu totalitarnych państw-sąsiadów, czyli Niemiec i Rosji. Egoizm, brak wyobraźni i bierna postawa Francji i Wielkiej Brytanii w konsekwencji przyczyniła się do rozpalenia się najstraszniejszej w dziejach ludzkich wojny światowej.

Nie przydadają tym razem obu agresorom, którzy kolejnym razem w historii rozszarpywali Polskę, żadnych przymiotników. Jak poucza nas bowiem historia, nie mają one w istocie najmniejszego znaczenia i jedynie zamazują wyrazistość obrazu. Bo jakaż to różnica, czy gnębi nas tysiącletnia Rzesza niemiecka – cesarska czy hitlerowska albo dajmy na to, nabierająca wyraźnego apetytu Rzesza szrederowska?

A Rosja? Carska i bolszewicka, albo i nawet putinowska – pozostaje zawsze Rosją turańską! Przykład krwawiącej od dwustu lat Czeczenii jest dla Polaków wystarczającą przestroga, by przestać

się lękać, że Rosja sama z siebie uzna niezbywalne prawa narodów do samostanowienia i wejście na drogę demokratycznych przeobrażeń. A jeśli wejście, to stworzy kolejne monstrum, za co ludzkość zapłaci jeszcze większą cenę...

Przypomnijmy w tym miejscu ów eksperyment niemiecko-francusko-brytyjski, zwany potocznie w historii marksizmem-komunizmem. Eksperyment ów był, jak wiadomo, *krójony na potrzeby Europy*. A jakaż to się gangrena

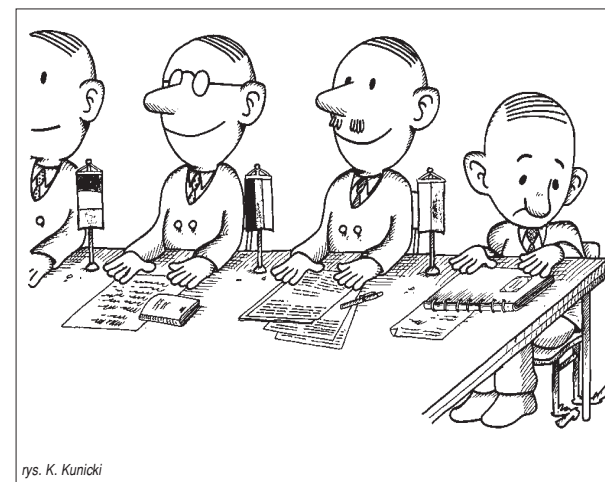
skończyło dla świata w wyniku zaszczepienia go w Rosji i Azji?

Francja i Niemcy znów piszą dla Europy kolejny scenariusz. I znów nie wiemy, kto będzie jego realizatorem? Kto zajmie się reżyserią? Jaką rolę ma tu odegrać Rosja? Nie znamy ostatecznej ceny, którą i nam wypadnie zapłacić za jego realizację. Być może jednak warto stanąć z podniesionym czołem i z determinacją wyrazić wolę śmierci za Niceę. Być może przyszła cena ZA NIC, na wystawionym nam rachunku, może się okazać niewspółmiernie wysoka.

W czasie obchodów jubileuszowych ćwierćwiecza wielkiego pontyfikatu warto odwoływać się do tego, czego nas uczył polski Papież... A pierwsze słowa Jana Pawła II, które do nas skierował jako namiestnik Jezusa Chrystusa, brzmiały: *Nie lękajcie się!*

I na nich budujemy.

Henryk Ilfing



rys. K. Kunicki

Intencja II Krucjaty Modlitwy za Ojczyznę

LISTOPAD 2003:

O szacunek do naszej historii

oraz tradycji narodowych wśród młodego pokolenia Polaków

Akredytowani w Warszawie zagraniczni dziennikarze nazywali go *Stefanem Upartym*. Po ewakuacji do Bukaresztu, a przed poddaniem naszej stolicy, z zapartym tchem, wsłuchiwali się w pełen zakłóceń eter, chcąc usłyszeć płynący *stamtąd* zachrypnięty głos Prezydenta Miasta Stefana Starzyńskiego: – *Warszawa jeszcze nie upadła; Polska jeszcze nie upadła – bo znowu usłyszeliśmy Jego głos –* relacjonowali dziennikarze. Nawet wbrew wytycznym swoich szefów pozostawali jeszcze sercem w stolicy Polski. Dla nich synonimem Niepodległej Rzeczypospolitej był tylko ten major w peleryni Strzelców Podhalańskich. *Tak długo walczącej Polsce, jak jego głosu – twierdził wtedy były rezydent w Warszawie jednej z najpoważniejszych amerykańskich agencji prasowych – Associated Press. Człowiek, który po zakończeniu wojny opublikował swoje wspomnienia.*

Starzyński z bliska

Major S. Starzyński (ur. w 1883 r.) nawet po kapitulacji nie zdjął munduru. W tym mundurze nadal pertraktował z Niemcami. Tak było. Chociaż dzisiaj wiadomo, że przywódca, powołanej przed kapitulacją Warszawy (co się zresztą dokonało z jego udziałem) *Śłużby Zwycięstwu Polski*, zgrupowani wokół płka Michała Karaszewicza-Tokarskiego proponowali mu skuteczny sposób na *zniknięcie*. Nie skorzystał z tej propozycji. Chciał nadal być dla mieszkańców Warszawy przykładem patriotycznego i etycznego postępowania. Uważał, że musi nie tylko przekazać okupantom zgodnie z porozumieniem kapitulacyjnym, swoją władzę prezydencką, lecz także wymóc na nich obietnice efektywnej pomocy przy odbudowie struktur technicznych, niezbędnej do normalnego funkcjonowania miasta. *Od tego, kim się było i jest, po prostu nie wolno i nie da się łatwo uciec –* mawiał wówczas mjr Stefan Starzyński.

Kim był ten człowiek, którego znamy (przeważnie) z przekazu historyków jako osobę bez reszty oddaną Warszawie, później niezłomnego jej obrońcę, który stracił życie w nieznanym okolicznościach i w nieznanym miejscu; któremu na pamiątkę jego postawy i dokonań wzniesiono dębowy krzyż w *Alei Zasłużonych* na Cmentarzu Powązkowskim? Jakim był na codzień Stefan Starzyński jako *zwykły człowiek*?

Na to pytanie odpowie osoba zaprzyjaźniona z jego rodziną – p. Maria Anna Kozłowska z domu Gołębiowska. Pani Maria wspomina:

Z rodziną Starzyńskich byłam blisko zaprzyjaźniona już we wczesnych latach trzydziestych. Wiązało się to z podjęciem pracy u stryjecznej siostry Majora, Heleny Mileckiej (z d. Starzyńskiej). W domu mojej pracodawczyni – a niebawem już najbliższej przyjaciółki – był on bardzo częstym gościem. Prawie domownikiem. Wielokrotnie uczestniczyłam w rozmowach, których zasadniczym tematem była rozbudowa Warszawy, jej upiększenie itp. Takim oryginalnym pomysłem Stefana była akcja *Warszawa w kwiatach czy Twarzą do Wisły*. Gdy się przymierzał do budowy metra, okazało się, że pod ziemią płynie *druga Wisła* i trzeba zmienić pierwotne plany, bo miejsce, które wybrano na rozpoczęcie budowy, okazało się zbyt niefortunne...

Stefan Starzyński, od chwili śmierci swojej żony Apolonii Pauliny (Lprimo voto Tylickiej z domu Chrzanowskiej, co miało miejsce 29 maja 1939 r.) faktycznie żył już tylko Warszawą. Pamiętam, jak odebrałam od niego telefon po jej śmierci. Powiedział wówczas: – *Marysiu! Po śmierci Polusi zmarło także moje życie!* Myślał jednak tylko o życiu prywatnym. Nie dotyczyło to spraw publicznych.

Po wybuchu wojny czuł się praktycznie opuszczony przez wszystkich zwierzchników. Po kapitulacji, gdy (w pełnym mundurze jako niemiecki zakładnik) przyjechał do siostry w Konstancinie, gdzie przebywaliśmy, opowiadał nam o swoich kłopotach. I o przykrych momentach ostatnich tygodni. Mówił m.in. o tym, że podczas oblężenia przy-

szli do niego współpracownicy, skarżąc się, że w ich pomieszczeniach jest niebezpiecznie. Oddał im wówczas do dyspozycji swój gabinet. Ale ta domniemana *ostoja* okazała się żłudna. Bowiem trafił tam pocisk, który zabił trzy osoby.

Osobiście się nie bał. Codziennie przybywał, w swej charakterystycznej peleryni Strzelców Podhalańskich, do siedziby *Polskiego Radia* na ul. Zielną. Przemawiał do mieszkańców Warszawy, do wszystkich Polaków i w ogóle ludzi na całym świecie. W kilku językach. Także po niemiecku.

Komentując w Konstancinie *ślawetne* wystąpienie płka Umiaszowskiego, wzywające mężczyzn do opuszczenia Warszawy, uznał je za zdradzieckie. Przede wszystkim dlatego, że w tym przemówieniu znalazły się informacje o dyslokacji naszych jednostek, ich stratach itp. Umiaszowskiego Major nazwał wtedy po prostu zdrajcą.

Stefan mówił też o niemieckiej propozycji współpracy, co miało się dla niego wiązać z pozostaniem na dotychczasowym stanowisku. Oczywiście stanowczo odmówił. Dlatego niebawem został aresztowany i osadzony na Pawiaku.

Odwiedzała go tam bratowa – Maryla Starzyńska (żona Mieczysława, pułkownika *WP*) i siostra jego żony – pani Brunnowa (z rodziny słynnych właścicieli



Źródło: Arch.

warszawskiej firmy *Block-Brum*). Panie te, po raz ostatni, spotkały się z nim na Pawiaku 23 XII 1939 roku. Prosił je wówczas, aby przyniosły mu następnego dnia ciepłą bieliznę, bo ma być gdzieś wywieziony. Gdy pojawiły się następnego dnia, Majora już nie było. Potwierdzili to wkrótce polscy pracownicy więzienia – członkowie wojskowej konspiracji. Stefan Starzyński rano został wywieziony w nieznanym kierunku. Od tej pory wszystkie informacje o nim okazywały się fałszywe. Docierały one zazwyczaj do jego willi na Mokotowie, przy ul. Szustra 72 (obecnie J. Dąbrowskiego).

Major Starzyński w codziennym życiu był miły, ciepły, otwarty i szczerzy. Pani Maria jako przykład podaje historię ze starszą, która z ciężkimi zakupami wracała do domu. *Stefan nakazał zatrzymać samochód, sam wyszedł, wziął pod rękę starszą osobę, w drugą rękę jej zakupy i poprowadził do auta. Potem polecił kierowcy odwieźć ją pod dom i dostarczyć żywność pod drzwi. Poważnie nikt tego nie widział, więc na pewno się nie popisywał. Po prostu taki był...*

Był człowiekiem skromnym, choć był zamożny i obracał się w kręgach finansjery (świadczą o tym nawet umebłowanie i wyposażenie jego domu). Zadnego znaczenia nie miały dla niego pokusy finansowe. O dwuznacznych propozycjach *nie wprost* (które jego zdaniem jednoznacznie kwalifikowały się do prokuratury) opowiadał jako o brzydkich kuriozach życia publicznego. Tak czynił Polak z *krwi i kości*...

Znałam trzech braci Starzyńskich – powiada p. Maria. Byli to: Roman, zmarły w 1938 r.; Mieczysław – pułkownik *Wojska Polskiego*, który w czasie działań wojennych we wrześniu 1939 r. zachorował na krwawą dyzenterię i pod fałszywym nazwiskiem *Lipski* został później przez Niemców ujęty w ulicznej łapance. Wywieziony do obozu koncentracyjnego, zmarł jako *Lipski*. Pod tym nazwiskiem pisywał do Bronisławy Kozłowskiej, siostry premiera Leona Kozłowskiego. Sygnałem o jego śmierci było odesłanie paczki z adnotacją, że *adresat nie żyje*. Było to w 1942 r.

Najmłodszym z braci był Stefan...

Cezary Bunikiewicz

Niemal nie ma tytułu prasowego w Polsce, który nie poświęciłby miejsca kwestii niemieckiego projektu dotyczącego powołania do życia *Centrum Wypędzonych*. Ta niemiecka propozycja najwyraźniej ma na celu klasyfikację wypędzonych, która pokazywałaby, że Niemcy są martyrologicznie *nadwypędzeni*, że oni są najbardziej godni współczucia i że im stała się największa krzywda. A może nawet tylko im stała się ta krzywda, że dokonano na nich bezprawia i naruszono prawa człowieka. Może nawet należy im się odszkodowanie lub zwrot opuszczonego mienia.

Wypędzeni

To zdumiewające, ale nie natrafiłem nigdzie w publikacjach na zasadniczy argument, który przywołałby do porządku panią Erikę Steinbach, a ten argument to fakt, że Niemcy podpisały BEZWARUNKOWĄ kapitulację, co oznacza, że musiały przyjąć wszelkie warunki, które podyktowali im zwycięscy alianci (lepiej byłoby powiedzieć: obie zwycięskie strony).

W przeciwnieństwie do kapitulacji Niemiec, kapitulacja np. *Powstania Warszawskiego* nie była bezwarunkowa. Przewidywała ona również wypędzenie przeżyłych mieszkańców Warszawy z ich miasta i zasadniczo Niemcy tej umowy dotrzyмали (poza wyjątkami dość licznymi niestety) przesyłania mieszkańców Warszawy do Oświęcimia i innych obozów koncentracyjnych. To wypędzenie na pewno było lepsze niż uwięzienie całości ocalałych w kacetach. A cóż powiedzieć o sytuacji Polaków na Wołyniu, że wypędzenie czy wysiedlenie ich z rodzinnych domów byłoby dobrem – powstrzymuje się przed określeniem: dobrodziejstwem w porównaniu z mordowaniem całych rodzin z kobietami i dziećmi piłami i siekierami, lub rozstrzelaniem na miejscu.

Wysiedlenie Niemców było w porównaniu z tym aktem humanitarnym. Nastąpiło ono jednak przedwcześnie. Należało bowiem wysiedlić wyłącznie kobiety i dzieci, natomiast mężczyzn zdolnych do pracy zatrzymać w warunkach półwieziennych i skierować do pracy przy odbudowie dokonanych przez Niemców zniszczeń i po dwóch-trzech latach zwalniać i wysyłać do Niemiec, do swych rodzin.

Zadziwiające, że to Polacy odbudowali zniszczone miasta i spalone wsie, a nie jedynie dozorowali pracę Niemców, którzy dopiero po odbudowaniu Polski mogliby zabrać się do odbudowy Niemiec. Niestety stało się inaczej. Między innymi wpłynęło na to stanowisko ZSRR, które skłoniło Polskę Ludową do zrzeczenia się reparacji, które miały nam przyspać ze strefy sowieckiej, a ta szybko przekształciła się w *dobrych Niemców*, od których nie wypadało żądać ani reparacji, ani pracy jeńckiej.

Pani Erika Steinbach nie bierze pod uwagę, że ze wschodnich terenów Polski Polacy albo byli wysiedlani i wywożeni na Sybir, albo co najmniej wysiedlani pod groźbą zrzeczenia się własnego, polskiego obywatelstwa i całego dorobku pokoleń.

Wysiedlenie Niemców spowodowane przegraną agresywną wojną i przesunięciem granic Polski (niby to zwycięskiej) winno być przyzwołe przez Niemców bez szemrania. Dotyczyło jednego pokolenia i przenoszenia tych okoliczności na synów i wnuków byłoby bardzo szkodliwe dla przyjaźni i współpracy, która zarysowała się szczęśliwie między obecnym pokoleniem Polaków i większością Niemców. Podobnie dzieje się między Polakami a większością Ukraińców.

Pani Steinbach i jej zwolennicy najwyraźniej chcą popsuć atmosferę, która mozolnie tworzona była od czasów listu biskupów polskich do biskupów niemieckich oraz uznania przez Niemców granicy na Odrze i Nysie.

Marek Antoni Wasilewski

PRZEZ ŻYCIE Z ANIOŁEM

Jerzy Liebert

Już zgromadzone w debiutanckim tomiku utwory Jerzego Lieberta zdradzają jego wybitny talent literacki.

W maju 1925 roku, mimo lęku przed matematyką, pomyślnie zdał maturę. Nie zdążył jeszcze ochłonąć po egzaminach, gdy w czerwcu jego najbliższa przyjaciółka wyjechała do Paryża, by po dwóch latach wstąpić do zakonu. O tej niezwykłej i pięknej przyjaźni świadczy obfita korespondencja, tzw. *Listy do Agnieszki* datowane na lata 1924 – 1926.

Jesienią tego samego roku rozpoczął nasz poeta studia polonistyczne na *Uniwersytecie Warszawskim*. Dorabiał jak mógł pisaniem. Imął się odpłatnie recenzowania cudzych poezji, sztuk teatralnych dla pism warszawskich (*Słowo Niezależne*, *Głos Prawdy*) czasem opublikował wiersz w *Skamandrze*, *Wiadomościach Literackich* lub *Kurjerze Polskim*. Nie stronił także od tłumaczeń z poezji rosyjskiej: Bloka, Jesienina i Achmatowej. Jednak wszystkie tego, mimo dobrej woli i ustawicznie czynionych wysiłków, wystarczało zaledwie na tyle, by nie umrzeć z głodu i w praktyce sprowadzało się do ustawicznego łatania dziur.

Przełomowym zwrotem w życiu młodziutkiego adepta warszawskiej polonistyki było zbliżenie się do *Kółka* ks. Władysława Kornilowicza – kilkunastoosobowej grupy twórców chrześcijańskich spotykających się regularnie w podwarszawskich Laskach. To za sprawą tych spotkań i rozmów nad myślami Maritaina nastąpiło w tymże samym roku 1925 religijne odrodzenie Lieberta.

Na fali tego odrodzenia poeta napisał swój najślimniejszy wiersz *anielski*. W liście do wspomnianej przyjaciółki Agnieszki, datowanym na poniedziałek 11 stycznia 1926 r., donosił: – *Wczoraj w nocy napisałem dłuższy wiersz, Anioł pokoju, w formie dialogu. Nie poprawiłem go jednak dzisiaj, więc otrzymasz dopiero w następnym liście. Pewno znów*

się nikomu nie będzie podobał...

Liebert pisał zatem ten utwór przez noc z niedzieli na poniedziałek, zapewne przed wykładami lub innym ważnymi zajęciami studenckimi. Pozostawał w tych dniach pod wrażeniem samobójczej śmierci Sergiusza Jesienina. O święcie, kiedy syreny fabryczne zaczęły budzić robotników do fabryk, utwór był gotowy, a poeta mógł na dwie-trzy godziny zdrzemnąć się przed zajęciami. Taka jest krótka historia najlepszego polskiego wiersza o aniołach.

Na kilka dni przed napisaniem tego wstrząsającego egzystencjalnego wiersza zwierzył się jeszcze Agnieszce ze swoich rozterek duchowych:

...biję się z rozmaitymi myślami, które przychodzą. To się nazywa może: gryzę się. W dzień nie mam czasu, ale noc zupełnie spać nie mogę. Moja najdroższa, wszystko się w mnie przelamuje, pewnych rzeczy nie zastaję na starym miejscu, a Pan Jezus nie dał mi jeszcze nowymi ich zastąpić. Przy tym wiara moja tak mało ma ufności i miłości. Wyrwawszy z siebie rzeczy stare, gdy upadam zostaję raptem bez niczego, bez żadnej podpory, lękam się, że zablądziłem, wracam, szukam.

Ustawiczny niepokój i poczucie pustki wiązało się także z brakiem zrozumienia w środowisku literackim. Cóż z tego, że był podziwiany i hołubiony przez najwybitniejszych literatów oraz artystów Warszawy, przez Iwaszkiewicza i Wierzyńskiego, Staffa i Sterna, przez Szymanowskiego i Broniewskiego, skoro przejście do *Kółka* księdza Kornilowicza spotkało się wśród poetów ze zdziwieniem graniczącym z dezaprobatą.

A anioł bólu dosięgnął go tymczasem bardzo wcześniej. W roku 1927 Jerzy Liebert zaczął podupadać na zdrowiu, które zawsze zresztą było wątłe. Przez jakiś czas ludził się, że to nic poważnego. Niestety, postawiona w roku 1930 diagnoza poraziła go: gruźlica! A więc w tamtych czasach choroba poważna, przeklęta i za-

zwyczaj nieuleczalna. Liebert liczył sobie wówczas zaledwie 26 lat, miał za sobą błyskotliwy debiut i obiecujące widoki na świetną karierę literacką. Spustoszenia w organizmie stawały się coraz rozleglejsze i ku nieulotnemu żalowi trzeba było przerwać studia.

Wyjechał na leczenie sanatoryjne do Workuty, małej miejscowości położonej w Karpatach. Przy awersji do leczenia sanatoryjnego, wolał zamieszkać w prywatnym domu wynajętym u Hucula Rusinka. Cieszył się bardzo z tego mieszkania, uwielbiał jego wystrój, huculskie kilimy i ludowe meble. Przez dwa lata walczył dzielnie z chorobą, nie poddawał się, cały czas pisał i tworzył. Jego wiersze stawały się jednak coraz posępniejsze, przesiąknięte wszechobecnym przecuciem rychło zbliżającego się końca. Refleksja egzystencjalna stanęła na pierwszym planie. Głębokie przeżycia religijne i wątpliwości jakie targwały duszą poety w jego dniach ostatnich zaowocowały tomikiem *Gusla* i pośmiertną *Kołoską jodłową*. Wiersze te do dziś są cytowane z ambon, a legenda o aniele wśród poetów, który niczym potężny meteor rozświetlił nagłym wtargnięciem poetycki firmament przedwojennej Polski i znalazł na nim poczesne miejsce, usadowiła się na dobre w świadomości zarówno zawodowych krytyków, jak i zwykłych czytelników poezji.

Kiedy 22 czerwca 1931 r. środowisko literackie odprowadzało swego młodziutkiego kolegę na cmentarz Powązkowski, zebranych uderzyła cisza i atmosfera wielkiego skupienia. Nad otwartą mogiłą w imieniu twórców przemówił tylko Ludwik Hieronim Morstin, a ks. Kornilowicz odczytał fragment z *Księgi Mądrości*, zaczynający się od wersetu: *Wcześniej osiągnąwszy doskonałość, przeżył czasów wiele. To krótkie życie miało w sobie coś z anielskości: anioł to przecież idealny sługa, unikający rozgłosu, zawsze skromny i pozostający w cieniu, skupiony w całości na jak najlepszym wypełnieniu boskiej misji. W przypadku Lieberta tą misją była poezja, spełniona za boskim zrządzeniem w czasie krótszym, ale w sposób piękny i jedyny w swoim rodzaju.*

Herbert Oleschko

STAROŻYTNOŚĆ CHRZEŚCIJAŃSKA (4)

Do Syrii wschodniej, a więc tej, która znajdowała się nad Tygrysem i Eufratem i która w większości znalazła się pod panowaniem perskim, chrześcijaństwo przybyło w początku II a może już nawet w I wieku. Było to chrześcijaństwo używające języka syryjskiego. Bardzo wcześnie w tym języku zaczęła powstawać wielka literatura, szczególnie poezja.

Około roku 300 organizuje się własna hierarchia, ze stolicą metropolitalną, północnej patriarfchalnej w Seleucji-Ktezyfalconie; ten Kościół proklamował swoją samodzielność na synodzie w 410 roku. W IV wieku, za króla Szapura I (340 – 399) wybuchło w Persji straszliwe prześladowanie chrześcijan. Chrześcijanie Wschodu – tak ich nazywano – żyjący w Persji przebywali w pewnej izolacji ze względu na wrogość między Rzymem a Persją.

Po Soborze Efeskim (431 r.) część biskupów syryjskich z tej części Syrii, która znajdowała się pod panowaniem rzymskim, nie przyjęła potępienia Nestoriusza. Na skutek tego musiało wycierpieć prześladowania. Ta grupa chrześcijan, prześladowana w Cesarstwie, opuściła je i udała się do Persji. Tam zmocniła istniejący Kościół, nadając mu charakter nestoriani, który tę naukę przyjął oficjalnie od synodu w 486 roku. Powszechnie przyjętym autorytetem teologicznym był wspomniany już Teodor z Mopsuestii, którego dzieła, zniszczone w oryginale greckim po Soborze Efeskim, jako jednego z twórców nestorianizmu, przełożono na język syryjski i dzięki czemu zachowały się do naszych czasów.

Kościół nestoriani w Persji rozwijał się niesłychanie dynamicznie. Stopniowo zaniósł chrześcijaństwo na tereny na wschód i południe od Persji, a więc do Indii północnych, do krajów nad zatoką Perską, do Persji, na terytoria obecnego Kazachstanu i Uzbekistanu; dotarł do Afganistanu, a poprzez

Chiny – gdzie powstał prężny Kościół – do Mongolii. W okresie swego apogeum obejmuje ponad 25 metropolii i ponad 200 diecezji.

Zahamowanie jego ekspansji miało szereg powodów. Po pierwsze inwazja islamu spowodowała bardzo poważne ubytki w samym Kościele macierzystym, a więc Mezopotamii i Persji. Ponadto

Kościół Chaldejski

ks. Marek Starowiejski

spory wewnętrzne w chrześcijaństwie, a więc z rywalizującymi z nimi *jakobitami* powodują osłabienie chrześcijaństwa. Ostateczny cios zadali Mongołowie, którzy początkowo wahał się w wyborze między chrześcijaństwem a islamem. W końcu wybrali islam. Szczególnym wrogiem chrześcijaństwa był Tamerlan. Dzieło niszczycielskie zakończyło przybycie fanatycznych Turków, którzy chrześcijaństwu zadali cios ostateczny. Odtąd chrześcijanie stają się niewielką grupką skupioną na północy Iraku.

Z tego stanu zdawali sobie sprawę pierwsi misjonarze docierający w tamte strony (a więc franciszkanie – jak Giovanni de Monte Corvino i dominikanie). Oni to nawiązują kontakt z *nestorianami* i podejmują próby unii. Sami zresztą patriarchowie są ku niej skłonni. Około roku 1340 unię podejmują Chaldejczy z Cypru, a potwierdził ją Sobór Florencki (1437). Jednak później wspólnota na Cyprze zanika.

Wiek XVI, XVII i XVIII to okres ciągłego przyjmowania i odrzucania unii z Kościołem katolickim. Sytuacja jest o tyle poważna, że na skutek dziedziczości patriarchami zostawali nie raz kilkunastoletni chłopcy, bez jakiegokolwiek formacji i doświadczenia, stąd tę dziedziczość patriarchatu zdecydowanie odrzucali unicy. Rzym dość póź-

no (1681) zatwierdził tytuł patriarchy zwierzchnika unickiego, licząc wcześniej na zjednanie patriarchy nestoriani. Kościół unicki wykrystalizował się w XIX w. wokół patriarchatu w Mossulu, mimo oporu misji protestanckich i prawosławnych i stopniowo przyciągał coraz większą ilość chrześcijan.

Koniec *I wojny światowej* przyniósł straszliwe mordy chrześcijan na północy obecnego Iraku. Dokonali ich Kurdowie z poduszeczenia tureckiego. Zginęło wtedy około 70 tys. chrześcijan, w tym 4 biskupów. Zniszczono klasztory ze skarbnicami rękopisów i dzieł sztuki. Tak oto chrześcijaństwo, istniejące tam od II – III w., przestało istnieć. Patriarcha z resztą chrześcijan przeniósł się z Mossulu do Bagdadu.

Te pogromy chrześcijan chaldejskich będą się powtarzały wielokrotnie. Patriarcha Assyryjskiego Kościoła Wschodniego został pozbawiony obywatelstwa irackiego i przeniósł się do Stanów Zjednoczonych. To spowodowało gwałtowne walki wewnętrzne w tym Kościele, który stopniowo staje się Kościołem emigracji – stolica została przeniesiona do Morton Grove w stanie Illinois i liczy obecnie około 400 tys. wiernych, przeważnie na emigracji. Ostatnio podpisana deklaracja patriarchy Mar Denkha i Jana Pawła II stwierdza, że w chrystologii nauka obydwu Kościołów się nie różni.

Patriarchat Katolicki Kościoła Chaldejczyków nazwany Babilonu Chaldejczyków znajduje się dziś w Bagdadzie i liczy ponad 300 tys. wiernych – przeważnie w Iraku, ale także w innych krajach Wschodu (Iranie, Libanie, Syrii, Turcji, Izraelu) i Zachodu (Francja i USA). Jego patriarchą jest Rafał I Bidawid, który, podobnie jak jego starożytni poprzednicy, używa raczej dawnego tytułu *katholikos*.

Obydwa Kościoły używają w liturgii języka syryjskiego: liturgia sprawowana jest w rycie Chaldejckim zaś w Mezopotamii czytania są w języku arabskim.

cdn.

Alicja Szubert-Olszewska

Dwie wizje Apokalipsy

Jan Lebenstein zapytany o powody swego zainteresowania Apokalipsą, o przyczynę powrotu do tego wielkiego tekstu, odpowiedział: – *Dlaczego Apokalipsa? No, bo to jest jedyna rzecz, która się spełni... Jaka jest Apokalipsa wyobrażona przez Jana Lebensteina? Jak ma się do historii? Jak ma się do dnia dzisiejszego?*

Dominującym wrażeniem w spotkaniu z ilustracjami tego artysty, opublikowanymi (przed dwudziestu laty przez Wydawnictwo Pallotynów Edition du Dialogue w Paryżu) w formie starannie opracowanego albumu, jest wierność tekstowi. Apokalipsa Lebensteina nie ma twarzy XX wieku, nie jest ani aktualizowana, ani też ubrana w kostium innej epoki, ma charakter uniwersalny, pozaczasowy. Artysta zilustrował tekst uważnie, spokojnie, wiernie, nie epatując widza okropnościami, erotyzmem, dwuznacznością. Jego bestie apokaliptyczne są prawie konwencjonalne, jakby krewiacki Scylli i Charybdi lub średnio-wiecznych smoków, z którymi rozprawiał się św. Jerzy. Czasem te monstra przypominają z naukową precyzją wykreowane gady kopalne – zawsze jednak mieszczą się w znanej nam ikonografii. Nie bestie są najstraszniejsze w tych rysunkach, najbardziej przejmująca wydaje się postać powieści, ale niedługo, bo wytopiona, jak nasz dopalający się czas i nieuchronność losu każdego z nas.

Lebenstein poprowadził widza w mrok prorocत्व Apokalipsy bardzo mądrze, nie kierując jego uwagi na zewnętrzność, bogactwo i dziwność form – ciała dzieła. Nie chciał widza zaskoczyć ani zadziwić, ani przerazić (a umiał to robić po mistrzowsku). Chciał natomiast przekonać go o tym, że największe tajemnice dokonują się w największej prostocie. Ornament, bajna dekoracyjność ukrywają, zacierają, mają charakter nowotworzący, trzeba więc z nich zrezygnować – wedle Lebensteina prawdziwie jest tylko to, co konieczne. Taka oszczędność gestu artystycznego charakteryzuje twórców dojrzałych. W *Apokalipsie* Lebenstein osiągnął mądrość i dojrzałość klasyków, kiedy się już pu-

bliczności nie zwodzi, nie kokietuje, nie kusi, kiedy się już nie goni za nowościami, kiedy mniej się myśli o języku, a więcej o treści. Taka sztuka jest trudniejsza w odbiorze, mniej spektakularna, więcej od odbiorcy wymagająca – ale też cenniejsza i obdarowująca.

Lebenstein odszedł z końcem tysiąclecia, z końcem pewnej epoki. Przyna-leżał do określonej formacji kulturalnej. Ta formacja odchodzi i właśnie, kiedy odchodzi, wydaje nam się szczególnie droga – było w niej miejsce na intelekt, na uczucie, na heroizm – ale ten świat, który począł się nad brzegami Morza Śródziemnego, staje się na naszych oczach przeszłością, a przyszłość wydaje się nam dysharmonijna, uboga, niepewna.

Apokalipsa Hanny Haskiej powstała na początku trzeciego tysiąclecia, po doświadczeniu Czernobyla, w trakcie dramatu World Trade Center. Artystka stworzyła swoje dzieło, posługując się komputerem, narzędziem najbardziej przystającym do naszej epoki, charakteryzującym ją. Sztuka Hanny Haskiej jest efektem skomplikowanych przekształceń setek fotografii. Artystka przy pomocy techniki komputerowej przemienia materiał fotograficzny w wizję końca czasu, ostatecznego kolapsu, katastrofy żywiołów, dramatu materii. Dawne,



Hanna Haska

malarskie, graficzne i rzeźbiarskie *Apokalipsy*, także i ta Jana Lebensteina, w znikomym stopniu wyobrażały naturę nieożywioną, wyrażały się głównie w formach antropocentrycznych i zoolomorficznych.

Hanna Haska zaledwie w kilku na 49 kompozycji swego cyklu wprowadza motyw biomorficzny: w *Prawie Pana* pojawia się gołąb, w *Gniazdach* – bociany i w *Wysypisku, Narodzinach* – embriion złączony pepowiną z chaosem postindustrialnego pejzażu. Jej *Apokalipsa* jawi się głównie w kształcie zdestruowanych rzeczywistości, rozspływających się krajobrazów, niemożliwych, związających się, falujących perspektyw i nawarstwiających się, przemieszanych symboli różnych kultur i epok. W wielu sekwencjach tego cyklu owa zdeorganizowana i pomieszana materia wirtualnego świata ulega anihilacji, nienaruszone w tej katastrofie pozostają jedynie kamienne tablice Dekalogu. Na nie autorka wskazuje jako na jedyny stały, niezniszczalny znak, wedle którego można się orientować. One ostrzegają przed lekceważeniem i przemienieniem w chaos praw stworzonej przez Boga natury.

Posępna *Apokalipsa* Hanny Haskiej przeniknięta chłodem wynikającym z narzędzia, jakim autorka się posługuje, różni się od plastycznych wizji Objawienia św. Jana, które dotąd powstawały; tych, które były dziełem ludzkich rąk i przekazywały ich ciepło i bliskość. Stworzona za pomocą zimnego, elektronicznego medium *Apokalipsa* Hanny Haskiej jest adekwatna do samozagubienia współczesnego człowieka, do naszego czasu. Jest też bardziej złowroga niż antropocentryczne wizje Kresu kreślone pędzlem i ołówkiem. ■

CHWILA MUZYKI

VIII Przykazanie

Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu – mówi Pan. Dlaczego, pomimo wielokrotnie powtórnego wskazania do mówienia prawdy święte teksty nie ma wśród Przykazań prostego *nie kłam*? Tak jak w przypadku *nie zabijaj*, bez rozróżnienia, czy to nie zabijaj ludzi narodzonych, czy nienarodzonych, czy zwierząt, ptaków lub uczu.

W przypadku kłamstwa jest wyraźne wskazanie na szkodę, jaką może ono wyrządzić bliźniemu. I właśnie dzięki takiemu doprecyzowaniu może istnieć sztuka. W wielu językach europejskich – w tym w polskim – słowa *art* i *artificial*, *sztuka* i *sztuczny* – a więc nieprawdziwy – mają wspólny rdzeń (jak

mówią językoznawcy). Zapewne 90 proc. literatury jest oparte na zmyślonej fabule; artyści popadliby w ciężki konflikt wewnętrzny, gdyby wiedzieli, że grzeszą, tworząc.

Zagadnienie prawdy w sztuce od zawsze fascynowało zarówno teoretyków, jak i samych twórców. Niektórzy podchodzą do niego radykalnie, jak ów malarz japoński, który obraz swego życia namalował, skacząc na płótno z dziesiątego piętra... Trudno orzec, czy powstałe dzieło było malarstwo lepsze od *Stoneczników* van Gogha; prawdopodobnie nie. Podobnie jak nie zawsze literatura faktu jest lepsza od fikcji literackiej.

Jednak istnieje – sądzę – granica,

poza którą artysta, zwłaszcza operujący słowem, posuwać się nie powinien. Jest to zakreślona VIII Przykazaniem granica dóbr osobistych bliźniego. Tu artysta – niestety – ma ogromne pole do popisu, bowiem kłamstwo utrwalone na papierze potrafi przetrwać stulecia, kreując miernoty na bohaterów, a prawdziwych bohaterów skazując na zapomnienie lub okrywając niesławą.

Kompozytor, zwłaszcza wtedy, kiedy sięga po tekst literacki jako tworzywo utworu, powinien ten aspekt sprawy podchodzić do niego radykalnie, czysto instrumentalnym trudno dać fałszywe świadectwo, to jednak posłużenie się oszczerczym tekstem literackim w operze lub kantacie obciąża – moralnie – również twórcę muzyki.

Mimo że jest to wbrew panującej dziś modzie – szukajmy przede wszystkim Prawdy.

Maria Szreder

PLASTYKA

Żałobne ornaty

Okazuje się, że po wszystkich kataklizmach powstańczych i wojennych, najwięcej w Polsce przetrwało zabytków sakralnych, szczególnie zaś dobrze przechowały się przepiękne, niezwykle bogate szaty liturgiczne. Fundowali je królowie, jak i światli magnaci. Same tkaniny niejednokrotnie sprowadzane były z zagranicy, natomiast w zakonnych, lokalnych warsztatach powstawały wspaniałe, dekoracyjne hafty.

Wśród zachowanych licznych zabytkowych zespołów szat liturgicznych oryginalnością dekoracji wyróżniają się szaty przeznaczone do liturgii pogrzebowej. Taki właśnie komplet żałobnych szat liturgicznych składający się z ornatu, dalmatyki, kapy, stuly, manipularza, velum i bursy podziwiać można w skarbcu katedry p.w. Wniebowzięcia

Panny Marii w Kielcach. Wszystkie części zespołu uszyte zostały z brązowej tafty, zaś widoczny na niej jasny haft tworzy jedwabna nić kręcona ścięciem łańcuszkowym. Symbole wanitatywne: skrzyżowane piszczele, złamana, gasnąca świeca czy opadające liście z różanego krzewu, powtarzają się w haftach zarówno kolumny ornatu, jak i na obu dalmatykach.

Ciekawie natomiast przedstawia się haft na kapturze kapy. W obramieniu ze srebrnego galonu wyhaftowana została trumna z monogramem IHS, na której siedzi kościotrup z kosą. Ta ekspresyjna, czytelna symbolika przypomina o nieuchronności śmierci i zachęca do modlitwy za zmarłych. Widoczny na innej części tego zespołu liturgicznych szat pogrzebowych motyw broczącego krwi serca i monogram IHS uznać

można za trawestację wielkiego tematu Ukrzyżowania wśród dusz czyścących. Hafty tego znakomitego zespołu datowane są na drugą połowę wieku XVIII. Z tego samego też okresu pochodzi dalmatyka żałobna wykonana w pracowni haftów Ludwika Potockiej w Krasiczynie, a obecnie przechowywana w kościele parafialnym p.w. Świętych Marcina i Barbary w Krasiczynie. Mimo że jej haft przedstawia typową, dość uproszczoną ikonografię wanitatywną doby baroku (przód dekoruje topór, zaś plecy łopata, poniżej obu trupa czaszka), to całość świetnie oddaje ducha epoki. Pracownia Ludwika Potockiej w Krasiczynie, działająca od połowy wieku XVIII, zajmowała się przede wszystkim przygotowywaniem szat liturgicznych, których prawie 80 wykonano dla miejscowego kościoła. Hafty tej pracowni, uproszczone i często powtarzające się, przedstawiają zawsze jednak dobry poziom artystyczny.

Jarosław Kossakowski

ZMIERZCH ROZUMU OŚWIECONEGO (1)

Co jakiś czas powracają dyskusje o roli inteligencji i intelektualistów we współczesnym społeczeństwie. Znany i ważny jest udział polskiej inteligencji XIX wieku w podtrzymywaniu tradycji i budzeniu świadomości narodowej. Ale dwuznaczna jest już rola jej późniejszej, lewicowej części, która skompromitowała się przystąpieniem do komunizmu, a w Polsce powojennej propagowaniem jego systemu w stalinowskim *socrealizmie*. Obecnie podnoszą się różne głosy, że we współczesnym społeczeństwie inteligencja, jako grupa społeczna, jest w ogóle zbędna, bo mogą ją zastąpić profesjonalści z różnych dziedzin życia. Czy jednak pragmatyczni fachowcy mogą w pełni zastąpić ludzi, którzy w pewnych dziedzinach – wychowawczych, kulturowych i duchowych wykazują się często bezinteresowną służbą dla innych. Warto więc poznać różne strony zaangażowania inteligencji, a zacząć trzeba od intelektualistów, którzy zdobyli w nowoczesnej Europie, laicyzującej się od XVII w. (od czasów Oświecenia i Rewolucji Francuskiej), rolę przywódczą, kształtującą umysły i przyszłe pokolenia, zmieniającą istotnie dotychczasowy sens tradycji europejskiej. Wzięli oni na siebie ogromną odpowiedzialność, ale czy sprościli zadaniom, które sobie postawili? Czy nie zawiedli zaufania całych społeczeństw, które chcieli prowadzić ku najlepszemu, ale tylko sobie znanemu i wymaganemu światu?

Narodziny praktycznego idealizmu

Ruch intelektualny istniał zawsze. Jednak swą nowoczesną postać i wpływ uzyskał w XVIII wieku, gdy w ogóle nastąpił przełom w kształtowaniu się dziejów cywilizacji europejskiej. Dawnej myśli i postawa intelektualistów mieściła się w szerszym porządku kultury i tradycji religijnej tworzącym chrześcijańską Europę. Około XVIII wieku zaczęło kwestionować ten porządek trwania i rozwoju, wprowadzając nowe idee i prawdy rewoltujące i stopniowo wyniszczające ukształtowany przez wieki system wartości i wzorców życia, a nawet widzenia i przeżywania świata. Powstał świat nowoczesny, którego spadkobiercami, chcąc nie chcąc, w kolejnych pokoleniach jesteśmy my.

Po raz pierwszy – pisze znany historyk angielski Paul Johnson w książce *Intelektualiści – człowiek w historii zdecydował się twierdzić, coraz pewniej i śmiejąc, że może rozpoznać choroby gnębzące społeczeństwo i uleczyć je własnym umysłem, a nawet więcej: że może znaleźć recepty, które ulepszą nie tylko strukturę społeczeństwa, ale i utrwalone nawyki istot ludzkich. Odmiennie niż ich kapłaniści przodkowie nie byli oni już sługami ani tłumaczami woli bogów, ale ich zastępcami...* Johnson dokonuje w swej książce rozrachunku – krytycznie osądza pozostawiony przez intelektualistów spadek, poddaje

próbę ich dzieła i nauki, podobnie jak oni poddawali w wątpliwość cały porządek, który odziedziczyli. Swe zdanie Johnson wyłożył wprost: *Chcę szczególnie skupić się nad prawem moralnym i orzekającym świeckich intelektualistów do mówienia ludzkości, w jaki sposób ma ona postępować. Jak oni sami kierowali własnym życiem? Jak dalece szlusne były ich zachowania wobec rodziny, przyjaciół i współpracowników? Czy postępowali słusznie w sprawach płci i pieniędzy? Czy mówili i pisali prawdę? I jak ich własne systemy wytrzymały próbę czasu i praktyki?*

Johnson przedstawia portrety takich osób jak Rousseau, Marks, Tolstoj, Russell, Sartre i wielu innych, na współczesnych *postmodernistach* kończąc. Stara się pokazać je jako myślicieli, ideologów czy artystów, ale przede wszystkim jako ludzi – z ich charakterami, zachowaniami, postawami i wyborami. Jest to istotne, gdyż, jak się okazuje, ci ważni dla historii myśli ludzie swymi zachowaniami potwierdzali swoje nauki lub zaprzeczali im. Głosili bowiem w różny sposób nic innego, jak rewolucję w rozumieniu człowieka, wskazywali nowe drogi życia i rozwoju, proponowali lepszy świat – *wreszcie prawdziwy, niezafalszowany, wyzwolony z dawnych więzów, konwencji, instytucji, propagowali nowy porządek społeczny.*

Johnson konfrontuje więc ich nauki, idee, projekty z ich życiem, sprawdza, czy stosują się do swych ideałów, bada, kim są ludzie mieniący się nauczycielami ludzkości. Portrety przedstawione przez autora okazują się, niestety, najczęściej karykaturami. Ich bohaterowie nie czują się zbyt zobowiązani do wypełniania życia swych wzniosłych nauk. Za nową, rewolucyjną moralistyką kryje się najczęściej dawna hipokryzja, często skrajny egotyzm, próżność i własny interes – rezultaty zgoła przeciwne głoszonym naukom, które, jak się okazuje, obowiązują jedynie innych. To specyficzny kompleks nowoczesnego umysłu: coraz bardziej skrajne oddzielenie teoretycznego rozumu, abstrakcyjnej myśli, oderwanych, utopijnych idei od ich życiowego środowiska, od realiów także materialnych czy społecznych, co może się wydać paradoksalne, gdyż ich radykalne ulepszenie głoszają właśnie nowi myśliciele.

Po dwóch wiekach tej pedagogiki doszło raczej do dalszej destrukcji porządku pozostałego (lub *dekonstrukcji*, by użyć ulubionego pojęcia współczesnych *postmodernistów*, którzy dziś zmuszeni są obalać również ideologię *modernizmu*) – niż do jakiegokolwiek pozytywnego rozumienia człowieka czy społeczeństwa, które dałoby się obronić i propagować.

Cdn.

Marek Klecel

Coraz mniej słońca w ciągu dnia, pogoda deszczowa i pochmurna, świat szary i brudny. W listopadzie same poważne i refleksyjne święta. Z dnia na dzień coraz więcej zmartwień i kłopotów: brak pracy, albo obniżenie pensji wymuszone przez pracodawcę, drożająca żywność, arogancie i niewdzięczne dzieci, psujące się pralka, kłótnie małżeńskie... i wielkie poczucie niemocy. Brakuje zapału do życia, człowiek zastanawia się, jaki sens ma to *użeranie się* ze wszystkim, czuje się samotny i niezrozumiany nawet przez najbliższych... Wizja ponurego świata, pustka i jesienna depresja dopada nawet silne osobowości. Oglądanie telewizji jeszcze ten stan pogłębia...

Jesiennie problemy

Ludzie zmęczeni często siadają przed telewizorem, aby odpocząć. Telewizja jest najtańszym i najłatwiej dostępnym rodzajem rozrywki. Badania pokazują, że nałogowi *ogłądacze* telewizji mają często bardzo stereotypowy i skrzywiony obraz rzeczywistości. *Tele-maniacy* widzą świat jako miejsce ciągłych wojen, przemocy, zbrodni, oszustw i wszelkiego zła. Bardzo krytycznie oceniają innych ludzi: uważają ich za: nieuczciwych, skąpych, agresywnych, egoistycznych i bezwzględnych. Fani telewizji często miewają gorszy humor, nagminnie bywają zmęczeni życiem i są bardziej pesymistycznie nastawieni do życia.

Przykłady błędnych wyobrażeń powstają na skutek nadmiernego przebywania w świecie fikcji telewizyjnej, która dostarcza wielu ludziom podstawowej wiedzy o świecie, wielokrotnie powtarzając określone sytuacje, czy upraszczając schematy prezentowanych sytuacji i opinii. To, co widzimy częściej, wydaje się prawdziwszy. Psychologowie dowodzą, iż powtarzanie największej bzdury powoduje uwiarygodnienie przekazu, nawet do uzyskania efektu całkowitej pewności twierdzeń komunikowanych. Wagę mechanizmu powtarzalności zauważył Joseph Goebbels, ujmując to w znanym zdaniu: *stukrotnie powtórzone kłamstwo staje się prawdą.*

Ciągły i destrukcyjny wpływ mediów nieustannie pogłębia w człowieku frustrację, a wszelkie zmiany zachodzące jesienią w przyrodzie nasilają uczucie niechęci do zrobienia czegokolwiek, odbierają zapał do życia i pogłębiają uczucie bezradności wobec nieuchronności dziejących się wydarzeń. Zmartwienia odbierają człowiekowi wówczas nie tyl-

ko radość i poczucie sensu, lecz także nadzieję na jakąkolwiek zmianę.

Co trzeci człowiek, który zwraca się o pomoc do specjalistów, mógłby zapewne wyleczyć się sam, gdyby tylko na poważnie potraktował ewangeliczną radę o służbie bliźniemu i pomaganiu innym, zapominając o sobie. Okazywano ludziom zainteresowania, a zapominanie o sobie, codzienne spełnianie choćby jednego dobrego uczynku, który rozjaśni twarz drugiego człowieka uśmiechem i sprawi przyjemność, zamiast lykania tabletki leków psychotropowych, okazało się dla wielu ludzi, którzy przeżyli prawdziwe tragedie życiowe jedynym ratunkiem.

Dobrá radą dla sfrustrowanych i zmęczonych ludźmi jest akceptacja zjawiska niewdzięczności i nieoczekiwanie niczego w zamian za wyświadczoną pomoc. Wystarczy nie rozmyślać o wdzięczności i niewdzięczności ludzkiej, a obdarowywać innych dla samej radości dawania. Jeśli rodzice chcą nauczyć dzieci postawy wdzięczności, wystarczy, jak okazują ją za każdym razem, gdy jest to możliwe. Maluchy skopiują ten nawyk bardzo szybko. Postawę wdzięczności trzeba pielęgnować.

Jedną z najbardziej fundamentalnych prawd odkrytych przez psychologię brzmi następująco: jest całkowicie niemożliwe, aby ludzki umysł, nawet najbystrzejszy, zajmował się więcej niż jedną rzeczą na raz. Aby tę prawdę zweryfikować, wystarczy próbować jednocześnie planować sobie jutrzejszy dzień i myśleć o procesie spalania się węgla. Można skupić się na tych dwóch sprawach po kolei, ale nigdy na obydwu naraz. Dlatego nie możemy być jednocze-

śnie radośni, pełni entuzjazmu i zaangażowania oraz czuć się wyczerpani, zmartwieni i smutni. Terapia ludzi znerwicowanych polega więc przede wszystkim na wynajdowaniu im zadań do wykonania, zajmowaniu czasu i niedawaniu możliwości na rozmyślanie o strasznych przeżyciach. Praca, jak wskazuje na to doświadczenie wielu lekarzy zajmujących się ludźmi cierpiącymi na paraliż duszy, ogarniętych wątpliwościami, niepewnością, niezdecydowaniem, depresją, czy strachem, uzdrowiła wielu chorych. Siedząc beczynnym i rozpaczającym, człowiek znacznie tworzy jedynie ponure wizje, które niszczą umysł i pozbawia wolę działania. Trzeba w sobie wyrobić nawyk pozytywnego myślenia.

W stanach przygnębienia, osłabienia i zwątpienia człowiek szuka różnych form pomocy, nie zawsze dobrych, jak się potem okazuje. Często próbuje więc znaleźć chwilowe pocieszenie w nałogach, albo zwykłej radości i chwilowej rozrywce choćby w mediach. Te jednak pogłębiają tragiczny obraz świata i ponurą wizję przyszłości bez nadziei. Ucieczka taka kończy się porażką. Wykonanie jednego bezinteresownego uczynku w ciągu dnia, nieoczekiwanie zań wdzięczności, nieodgrywanie się na wrogach, czy próba myślenia pozytywnego i szukania radości w życiu, nawet z powody drobnych zwycięstw, to tylko kilka sposobów na lżejsze i dłuższe życie. Czemu więc nie spróbować?

Monika Przybysz



Niektórych złudzeń pozbywamy się szybko. Innych wolniej. A niektórych nie pozbylibyśmy się nigdy, gdyby nie nieublagany *związek przyczynowy*. Na przykład moja starsza córka zorientowała się wprawdzie, że to nie św. Mikołaj przynosi prezenty, tylko rodzice. Jednak postanowiła nie informować o swoim odkryciu młodszej siostry, żeby dłużej było jej przyjemnie. Podobnie postąpili z Polakami politycy *Akcji Wyborczej* *Solidarność* i *Unii Wolności*, strzegąc im przed kilku laty reformę ochrony zdrowia. Sami doskonale wiedzieli, że prawdziwym i jedynym celem tej reformy jest stworzenie dodatkowych synekur dla politycznego zaplecza ścisłych czołówek partyjnych, ale szerzej nikogo o tym nie informowali, a nawet rozpowszechniali dezinformacje, jakoby działania reformatorskie zostały podjęte w interesie pacjentów. Pacjentom i pacjentom potencjalnym przyjemnie było tego słuchać, bo każdy lubi, kiedy inni akurat o niego się troszczą, a już zwłaszcza, kiedy troszczą się o niego politycy społecznie wrażliwi.

Związek przyczynowy

Kiedy *Sojusz Lewicy Demokratycznej* obiecał, że będzie troszczył się o pacjentów jeszcze bardziej niż *AWS*, większość zagłosowała za oddaniem władzy *SLD*, bo juźci, serdecznej troski nigdy za wiele. I *SLD* zaraz zademontrował *serdeczną troskę*. Pan minister Łapiński (ten, co to już go wyrzucili i z ministerstwa i z partii) rozwiązał *Kasy Chorych* i utworzył na ich miejsce *Narodowy Fundusz Zdrowia*. Ma się rozumieć, wszystko dla tych pacjentów, żeby przychylić im nieba... A tak naprawdę to dlatego, że nie było innego sposobu na wyrzucenie z posad w *Kasach Chorych* zaplecza politycznego *AWS*, ulokowanego tam jeszcze w okresie rządów premiera Jerzego Buzka. Likwidacja *Kas Chorych* stwarzała taką okazję, a utworzenie *NFZ* pozwalało ulokować w nim już same właściwe osoby, oczywiście spośród zaplecza politycznego *SLD*, ewentualnie *Unii Pracy*. Jak wiadomo z najnow-

szych doniesień medycznych, kiedy uczestnik zaplecza politycznego *SLD* lub *Unii Pracy* dostaje intratną synekurę w administracji ochrony zdrowia, to pacjentów zaraz mniej boli.

Aliści przez cały ten czas funkcjonował *związek przyczynowy*, który działa w dzień i w nocy, podobnie jak prawo grawitacji. Konieczność finansowania z części pieniędzy (skonfiskowanych przez rząd podatnikom nie tylko kosztów leczenia pacjentów, lecz także utrzymywania rosnącej liczby synekur) szybko doprowadziła do wyczerpywania się prelimitowanych środków. Sejm wahał się przed zwiększeniem rozmiaru konfiskaty dochodów obywateli, bo ci mogliby zacząć zadawać kłopotliwe pytania: dlaczego to koszty ochrony zdrowia tak gwałtownie wzrosły, skoro komfort świadczenia usług medycznych aż tak znowu się nie poprawił, jeśli w ogóle? W kolejnych zatem budżetach rozkazywał udawać, że wszystko jest

w jak najlepszym porządku. Niestety, jak mówi poeta: *lecz tymczasem na miście inne były już treści*. Do przychodni i szpitali pacjenci przychodzili jakby nigdy nic, bo okazało się, że ani bakterie, ani wirusy, nic sobie nie robią z limitów ustalonych w wielkim mozole przez parlamentarzystów, a następnie urzędników administracji ochrony zdrowia. I trzeba było albo odpędzać ich od szpitalnych bram złymi psami, albo nie odpędzać i próbować leczyć. To jednak podągało za sobą ponadlimitowe koszty. Wrażliwość społeczna, a właściwie normalna wrażliwość ludzka lekarzy w większości przypadków brała górę, jednak wtedy znów włączał się *związek przyczynowy* i w ten oto sposób zaczęły narastać długi. Szpitale zadłużały się u dostawców: prądu, żywności, leków i środków opatrunkowych, nie mówiąc już o dostawcach sprzętu medycznego. Dzięki temu wrażliwe, że wszystko jako tako funkcjonuje, było podtrzymywane.

Jednak wszystko, na tym świecie (pełnym złości), ma swój początek i koniec, dlatego podtrzymywanie tego złudzenia mogło udawać się do momentu, w którym ktoś pierwszy powiedział: *sprawdzam* i zażądał od szpitali zapłaty długów. Odtąd wszystkie złudzenia zaczęły pryskać jak bańki mydlane i wreszcie doszło do tego, do czego dojść musiało: w Zakopanem zamknięto *Pogotowie Ratunkowe*, a stan likwidacji zagroził wielu szpitalom – bankrutom.

Jednak żadne trudności nie są w stanie zachwiać *wrażliwością społeczną* elit politycznych i poza notorycznymi oszołomami nikt nawet nie wspomni o możliwości odebrania władzy publicznej kompetencji w zakresie organizowania ochrony zdrowia i jednoczesnego zmniejszenia zakresu fiskalnej konfiskaty dochodów obywateli. Trudno się temu dziwić: *związek przyczynowy* nakazywałby wtedy rozpedzenie ulokowanego w administracji ochrony zdrowia zaplecza politycznego tych czy innych partii. I co one by zrobiły w sytuacji, gdy rząd wygraża programem oszczędnościowym?

Stanisław Michalkiewicz

IN FLAGRANTI

Wypowiedź tę dedykuję panu Leszkowi Millerowi, prezesowi Rady Ministrów RP

Budowanie dobrobytu

Drugim wybitnym ekonomistą polskim, który po reformach Władysława Grabskiego tworzył zręby dobrobytu, był Eugeniusz Kwiatkowski. Dzięki obu tym ekonomistom Polska była mniej niż inne kraje zachodnie dotknięta dolegliwościami wielkiego kryzysu światowego z lat 1929-1933. I dlatego jej gospodarka zaczęła później kwitnąć: bezrobocie malało, rosły jak grzyby po deszczu nowe inwestycje... Dość powiedzieć, że w roku 1938 produkcja przemysłowa naszego kraju, globalnie rzecz ujmując, była na poziomie Finlandii, Austrii i Hiszpanii. Dziś jesteśmy wobec tych krajów zacofani o kilka okresów cywilizacyjnych.

Zanim przytoczę, co cytowany w poprzednim numerze Paweł Zaremba, autor *Historii dwudziestolecia 1918-1939*, napisał o działalności Eugeniusza Kwiatkowskiego, kilka słów tytułem wprowadzenia. Eugeniusz Kwiatkowski, w przeciwieństwie do endecka Grabskiego, nie sympatyzował z żadną partią polityczną, acz w latach 1926-1930 był ministrem przemysłu i handlu, w latach 1935 – 1939 wicepremierem i ministrem skarbu. Tak, tak, nasi ojcowie i dziadkowie umieli się jednak wnieść ponad partykularne interesy swych partii. Jeśli zauważali, że poza układami partyjnymi jest wybitny specjalista, powierzali mu najwyższe stanowiska państwowe, wyznaczali najważniejsze zadania rządowe. Dziś jest inaczej. Współczesne, od 1989 roku, życie publiczne opanowali wyłącznie posłowie rekomendowani przez koterie partyjne; ich chciwość jest niczym nieograniczona, toteż tylko spośród siebie wybierają ministrów, w ogóle szefów naczelnych władz państwowych, wszak powiększają w ten sposób i swą władzę, i swe pensje, a z nikim, choćby nawet tysiąc razy mądrzejszym i uczciwszym od nich, nie zamierzają się niczym dzielić.

Eugeniusz Kwiatkowski był po roku 1947 całkiem odrażony, wręcz cywilnie uśmiercony, z zapisem cenzuralnym na swe nazwisko, umarł w roku 1974 całkowicie zapomniany. Dopiero na początku lat 90. wydano kilka jego książek.

Paweł Zaremba we wspomnianej publikacji tak pisze o jego dokonaniach gospodarczych: (...) w trudnych warunkach polskich Kwiatkowski wprowadził w życie dwa plany gospodarcze, a przygotował trzeci. Były to: czteroletni plan inwestycyjny na latach 1936-1939 i sześcioletni plan rozbudowy sił zbrojnych. Piętnastoletni plan inwestycyjny miał się rozpocząć w roku 1940. Z planu rozbudowy sił zbrojnych zdążono wykonać zaledwie wstępną jedną trzecią, gdyż zaczęto go wprowadzać w życie dopiero w roku 1937. Natomiast czteroletni plan inwestycyjny zdołano doprowadzić do wyliczonego celu prawie o rok wcześniej, niż przewidywał pierwotny termin, czyli w roku budżetowym 1937/1938. Skarb państwa za inwestował w tym okresie sumę miliarda 8000 milionów złotych, co było pozycją bardzo dużą, gdyż równało się trzem czwartym budżetu państwowego (...).

Do roku 1939 zbudowano na obszarze COP-u i uruchomiono ponad 100 zakładów przemysłowych. W przygotowaniu było uruchomienie ponad 300 dalszych. Wybudowano gazociąg z Zagłębia Krosińskiego, rozpoczęto pracę nad rurociągiem naftowym z Zagłębia Borysławsko-Drohobyckiego. Uruchomiono elektrownię w Rożnowie. Wszystko w ciągu 4 lat (podkr. J. W.). Lista jest zbyt duża, żeby ją tu cytować. Wspomnę więc tylko jeszcze o nazwie

nieomal symbolicznej dla rozwoju gospodarczego Polski przed wojną, choćby dlatego, że stanowiła przedmiot dumy i entuzjazmu całego społeczeństwa, równająca się chyba uczuciom, jakie budziło inne wielkie dzieło powstałe we współdziałaniu Eugeniusza Kwiatkowskiego – port i miasto Gdynia. Nazwa ta to Stalowa Wola, ogromny jak na owe czasy kombinat metalurgiczny (...).

Na podstawie danych związkowych Moraczewski ustalił na rok 1938 liczbę ludzi zdolnych do pracy, a pracy pozbawionych na 932 tysiące. A więc nieco ponad 5 proc. ogółu zdolnych do pracy. Była to liczba niepokojąca, stanowiąca za wysoka, zwłaszcza jak na kraj na do robku (...). Miała jednak także inną wymowę, w zestawieniu z (...) liczbą rzeczywistych bezrobotnych w roku 1936 (w niecałe trzy lata po kryzysie światowym – J. W.). Było ich wtedy 1875000.

(...) Nastąpił spadek niezatrudnionych z prawie 11 do 5 proc. Fakt ten, obok wzrostu płac realnych i braku wyższej cen żywności, jest chyba najwymowniejszą ilustracją poprawy materialnego położenia ludności Polski w krótkim okresie planowanego zrywu gospodarczego z drugiej połowy lat trzydziestych (podkr. J.W.).

Jeśli ktoś chce naprawdę w naszym kraju budować dobrobyt, to powinien przede wszystkim pochylić się nad działalnością Grabskiego i Kwiatkowskiego, gdyż – jak napisałem w poprzednim numerze – prawa gospodarki kapitalistycznej są wszędzie i zawsze takie same, a postęp wynika z wykorzystywania doświadczeń poprzedników, tym bardziej gdy ich dokonania są wielkie. Ale żeby wielkość docenić, trzeba samemu być nieprzeciętnym... Niech więc przyszłe pokolenia nie mówią o nas, że wszyscyśmy byli tacy sami jak politycy rządzący Polską w latach 1989 – 2003.

Jacek Wegner

PS:

W poprzednim odcinku *Budowania dobrobytu*, w drugim wierszu od góry, powinno być: *nieelegancka polszczyzna*.

Przepraszamy P.T. Czytelników



foto: P. Życieński

PRZEGLĄD PRASY

Niestety, pierwsze strony gazet w ubiegłym miesiącu nadal były zdominowane przez afery przestępcze. Głównymi bohaterami są politycy i nominowani przez nich zarządcy państwowego, czyli społecznego majątku. Tylko przy okazji małych złodziejasków i wygolonych opryszków ten i ów dziennikarz ma jeszcze odwagę przypominać slogan o III Rzeczypospolitej jako *państwie prawa*. Ale, gdy przychodzi do wyjaśniania zbrodni liczonej w setkach milionów dolarów, państwo prawa staje się niesłychanie niemrawe – prokuratorzy lekceważą bądź nie dostrzegają dowodów, a policjanci wykazują taką niefrasobliwość, jakby ośobiście im zależało, by przestępcy nie *trafili za kratki*. Ale czegoż można oczekiwać od urzędników państwowych, skoro sam premier (Leszek Miller nie jest w tej mierze ani pierwszy, ani zapewne ostatni) woli *miernych, ale wiernych* od kompetentnych i uczciwych.

Butwiejące państwo prawa

Mam w tej chwili na myśli niechlubną bohaterkę mediów, do jakiej to roli urosła Aleksandra Jakubowska, która szef rządu zdaje się darzyć bezgranicznym zaufaniem. Chcę wierzyć, że źródło tego zaskakującego *zaufania* nie bierze się stąd, że sam premier ma nieczyste sumienie. Mam też nadzieję, że tzw. afery Rywina zostanie wyjaśniona do końca. A jednak nie umiem ustreczyć się od gorzkiej refleksji, że gdyby Polska była naprawdę *państwem prawa* i respektowano w niej wszystkie podstawowe standardy europejskiej cywilizacji, Jakubowska byłaby dawno zdymisjonowana. Chociaż bowiem nie wiadomo jeszcze do końca o co chodzi, to jest pewne, że Jakubowska *kręci*. Kogo w ten sposób chroni przed odpowiedzialnością: siebie samą czy przełożonych? Brak reakcji premiera (a właściwie jest to jednoznaczna reakcja) jest już nie tyle zaskakujący, co znamienny. To już bowiem w polskiej polityce stało się normą, obowiązującym standardem. Możecie pisać i mówić, co chcecie – zdaje się uważać szef rządu, który jednocześnie toczy bój, aby do konstytucji *Unii Europejskiej* wpisano sprawę wartości chrześcijańskich – ale ja i tak, wbrew oczywistym faktom, postawię na swoim. Na tym tle doskonale wiadc, że tzw. *wartości chrześcijańskie* są dla premiera pustym słowem, frazesem. Ze szermuje nimi wyłącznie z hipokryzji, licząc na tani poklask i niepamięć przyszłych wyborców.

Kropkę nad i postawiła tzw. afery starachowicka, o której dowiadujemy się coraz więcej zaskakujących rzeczy. Oto, jak

informuje *Rzeczpospolita*, *kręci* w zeznaniach nie tylko wiceminister Zbigniew Sobotka, lecz także sam komendant główny policji – generał Antoni Kowalczyk. Jak przytomnie zauważa przy tej okazji Bronisław Wildstein, w tej sytuacji *nie ma co mówić o domniemaniu niewinności*. *Ta fundamentalna zasada odnosi się do człowieka na ławie oskarżonych i chroni go przed pochopną karą. Szef policji, tak jak i inni funkcjonariusze państwowi, nie tylko jak każdy obywatel nie może łamać prawa, ale nie może dodatkowo postępować lekkomyślnie i niemądrze. Za jego błędy płacą bowiem wszyscy obywatele. Piastowanie ważnych funkcji państwowych nie należy bowiem do fundamentalnych praw człowieka...* Niestety, trzeba w tym miejscu jasno powiedzieć, że reakcja szefa MSW Krzysztofa Janika także mieści się idealnie w *polskiej normie*, czyli należy do obowiązującego u nas standardu. Minister Janik uważa bowiem, że wszystko jest w idealnym porządku, chociaż, jak przypomina publicysta *Rzeczpospolitej*, ponosi on odpowiedzialność za działania swoich podwładnych. *Minister Janik – stwierdza dalej Wildstein – ma kieszonką rękę do współpracowników. Okazało się, że kilku z nich narusza ustawę antykorupcyjną, jego zastępca Zbigniew Sobotka zamieszany jest w aferę z przeciekami. Teraz pojawiły się problemy z komendantem policji. Jeśli to tylko pech, oznacza to, że Krzysztof Janik powinien jak najdalej trzymać się od urzędów państwowych.*

To samo można powiedzieć o innym wysokim funkcjonariuszu pu-

blicznym, którym jest szef Warszawskiej Prokuratury Okręgowej Zygmunta Kapusta. Dopiero dziennikarze *Rzeczpospolitej* wysledzili, gdzie byli szefowie *PZU*: Grzegorz Wiecezrzak i Władysław Jamrozcy ukryli ukradzione państwu pieniądze. Chociaż prokuratura mogła już rok temu przejąć poufne dokumenty dotyczące tej sprawy – zlekceważyła ten ważny dla śledztwa trop. A chodzi o kwotę niebagatelną: 500 milionów złotych, czyli 125 milionów dolarów. Tyle zostało ukradzione z państwowej kasy przez ludzi, którzy swoje stanowiska dostali wyłącznie dzięki temu, że byli *kolesiami* ważnych polityków. Dzisiaj ci politycy nabrali wody w usta, zaś prokuratorowi Kapuści nie chciało się (czy jednak naprawdę nie chciało się?) sprawdzić faktów, które podsunięto mu pod nos. A co na to minister sprawiedliwości, czyli przełożony owego prokuratora? Ano nic, zgodnie z polską normą...

Tymczasem, zamiast *stać na straży prawa i bronić interesów państwa i obywateli*, prokuratorzy i policjanci wymyślają przestępstwa, których w istocie nie było. Oto bowiem, jak ujawnili dziennikarze *Gazety Wyborczej*, tzw. afery dializowa w łódzkim Szpitalu im. Kopernika została przez policję wyszana z palca! Wskutek oskarżenia, że we wspomnianym szpitalu używano do dializ zanieczyszczonych płynów, które wytwarzano ze składników stosowanych do produkcji nawozów sztucznych, aresztowano ordynatora szpitala i zniszczono mu karierę zawodową, przerażono ciężko chorych pacjentów, a sam szpital poniósł wielomilionowe straty. Policja na razie milczy w tej sprawie, minister Janik także.

Jak żyć w takim państwie? Jak czuć się w nim bezpiecznie? Naprawdę nie wiem, gdyż owa *polaska norma* dziwi już tylko szarych obywateli, którzy z władzą nie mają nic wspólnego. Jest natomiast obowiązującym standardem premiera i ministrów, pomniejszych polityków, prokuratorów i policjantów. Oto polskie *państwo prawa* 14 lat po obaleniu komunizmu. Co smutniejsze, takie właśnie państwo zrobiliśmy sami dla siebie samych, bez niczyjej pomocy i niczyjego nakazu.

Andrzej W. Pawluczuk

Wydawca Miesięcznika PiP:

Wydawnictwo **MICHALINEUM**
przy Kurii Generalnej
Zgromadzenia św. Michała Archanioła
Dyrektor Wydawnictwa *Michalineum*
ks. Krzysztof Kuźnik CSMA

Redaguje:

Redaktor naczelny: ks. Sylwester Łucki CSMA
tel. (22) 771 45 95 lub 0 602 603 717
e-mail: pip@michalineum.pl

Adres redakcji:

PIP, ul. Piłsudskiego 248/252,
05-261 Marki k. Warszawy
tel. Wydawnictwa: (22) 781 16 40
www.michalineum.pl

Skład, lamanie, druk:

Drukarnia **MICHALINEUM**.
Grafika komputerowa:
ks. Andrzej Rybicki CSMA

Redakcja nie zwraca maszynopisów
nie zamówionych.

Najkorzystniejsza jest prenumerata

Warunki prenumeraty
Roczna prenumerata 1 egz. wynosi 48 zł
Opłatę na prenumeratę należy wpłacać na konto:

PKO BP SA IV O/Warszawa
Filia Wolomin
55-10201042-122460033

W miejscu przeznaczonym na korespondencję prosimy wpisać okres prenumeraty i liczbę prenumerowanych egzemplarzy. Miesięcznik można otrzymać również za pobraniem pocztowym. W przypadku większej ilości egzemplarzy (ponad 10) udzielamy rabatu.

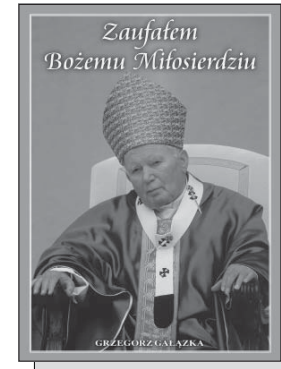
Zamówienia na czasopismo prosimy kierować na adres:

Wydawnictwo MICHALINEUM
(Dział Kolportażu)
ul. Piłsudskiego 248/252
05-261 Marki
tel.: (22) 781 14 20

Redakcja dysponuje ograniczoną ilością egzemplarzy archiwalnych.

Czasopismo można także nabyć w następujących domach zakonnych Zgromadzenia:
1. Warszawa-Bemowo II, ul. Ks. Markiewicza 1
2. Miejsce Piastowe, ul. Ks. Markiewicza 25a
3. Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 95a
4. Stalowa Wola, ul. Ofiar Katyńa 57
5. Toruń, ul. Rybaki 59

Za zgodą władz kościelnych



Oddajemy do rąk P.T. Czytelników kolejny album o Bożym Miłosierdziu – *Zaufałem Bożemu Miłosierdziu*. Podkreśla on związek Jana Pawła II z Łagiewnikami, jego rolę w ukazywaniu postaci św. Siostry Faustyny Kowalskiej i w szerzeniu kultu Bożego Miłosierdzia.

Jako młody robotnik Solwayu Karol Wojtyła słyszał już o siostrze Faustynie i o Bożym Miłosierdziu. Idąc do pracy przez Łagiewniki, często wstępował do kościółka Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia, gdzie znajduje się grób świętej. Będąc biskupem

krakowskim, rozpoczął w swojej archidiecezji jej proces beatyfikacyjny (21 X 1965 r.).

Zasiadając na Stolicy Piotrowej w Rzymie, odsłaniał nam etapy tajemnicy Bożego Miłosierdzia. Wydał encyklikę o Miłosierdziu Bożym *Dives in misericordia* (30 XI 1980 r.). Beatyfikował (18 IV 1993 r.) i kanonizował (30 IV 2000 r.) siostrę Faustynę. Ustanowił święto Bożego Miłosierdzia Bożego w II Niedzielę Wielkanocną. 17 sierpnia 2002 roku konsekrował bazylikę Miłosierdzia Bożego w Krakowie – Łagiewnikach: centrum, z którego promieniować będzie na cały świat blask Miłosierdzia Bożego, zgodnie z tym, co Pan zechciał objawić św. Faustynie Kowalskiej, apostołce Bożego Miłosierdzia... (Jan Paweł II).

Ojciec Święty, podczas modlitwy *Anioł Pański* (10 VIII 2003) powiedział do Polaków, że *stale wędruje myślą do łagiewnickiego sanktuarium i zawiera Miłosierdnemu Jezusowi losy Kościoła i świata...*

Album *Zaufałem Bożemu Miłosierdziu*, ze zdjęciami **Grzegorza Galazki**, zamieszcza fragmenty tekstów encykliki *Dives in misericordia*, dając P.T. Czytelnikom możliwość ich rozważania i pogłębiania, aby poprzez coraz większe zaufanie Bożemu Miłosierdziu mogli przeobrazić siebie i swoje otoczenie – budując cywilizację miłości.

Dziękujemy Bożemu Miłosierdziu za 25 lat pontyfikatu naszego Rodaka Ojca Świętego, który uczy nas zaufania Bożej miłości. Rozniecajmy iskrę Bożej łaski i przekazujmy ogień miłosierdzia.

Album: **ZAUFALĘM BOŻEMU MIŁOSIERDZIU** można zamówić i nabyć pod adresem:

Wydawnictwo Michalineum
ul. Piłsudskiego 248/252
05-261 Marki

tel. (22) 781 14 20, fax 771 36 15 lub e-mail: wydawnictwo@michalineum.pl

Cena jednego egzemplarza wynosi 25 zł plus koszt wysyłki.

Zapraszamy do odwiedzenia naszej strony internetowej:
www.michalineum.pl